



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Turcy pod Wiedniem : opowiadanie historyczne z czasów oblężenia Wiednia przez Turków w roku 1683.

Liczba stron oryginału

92

Liczba plików skanów

92

Liczba plików publikacji

93

Sygnatura/numer zespołu

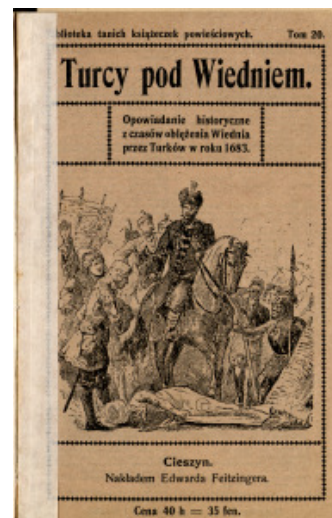
KD I 04677

Data wydania oryginału

[1913]

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



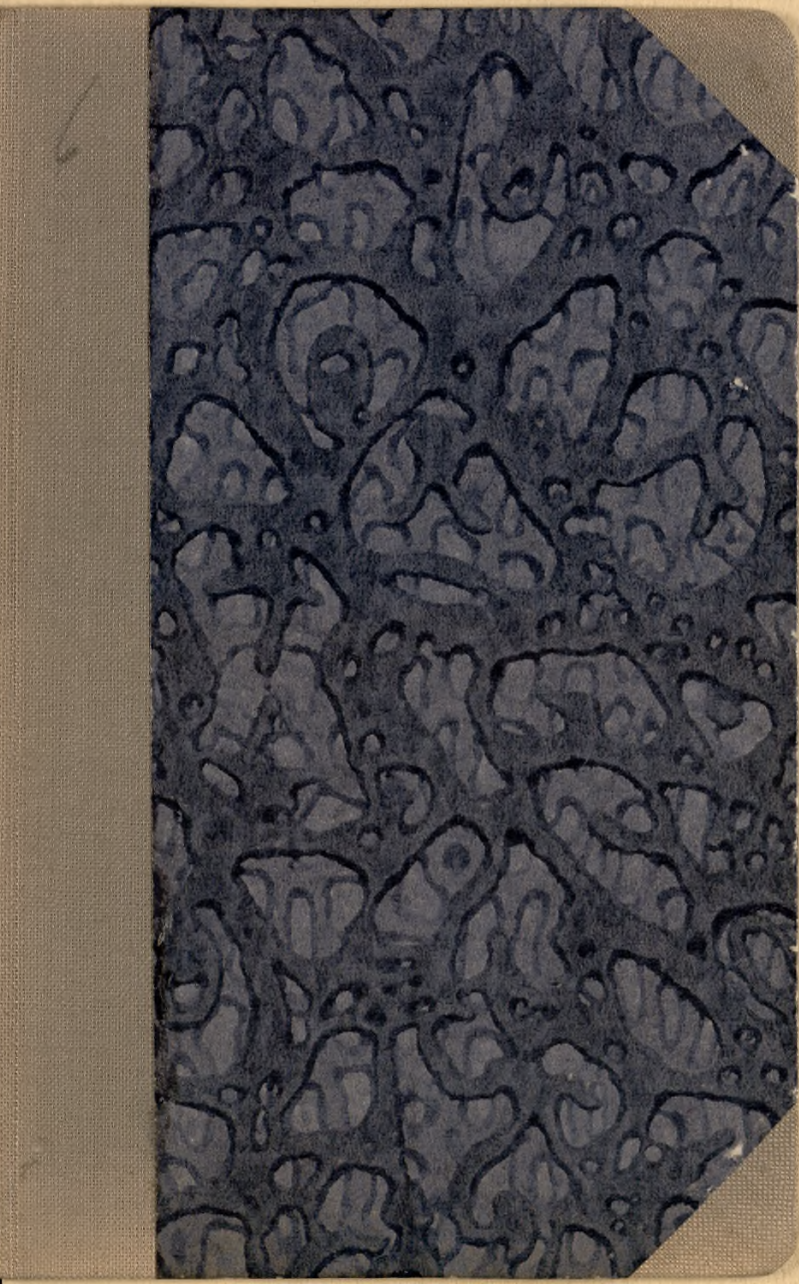
Fundusze Europejskie
Program Regionalny



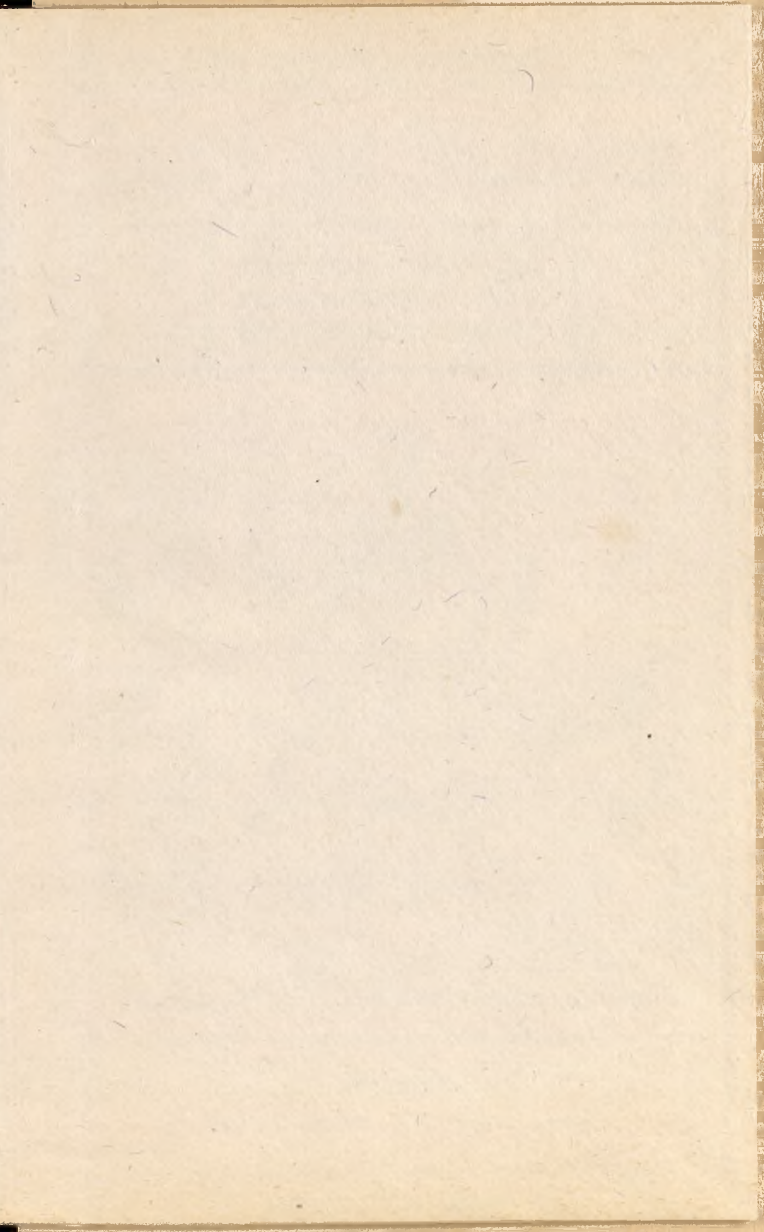
Śląskie.

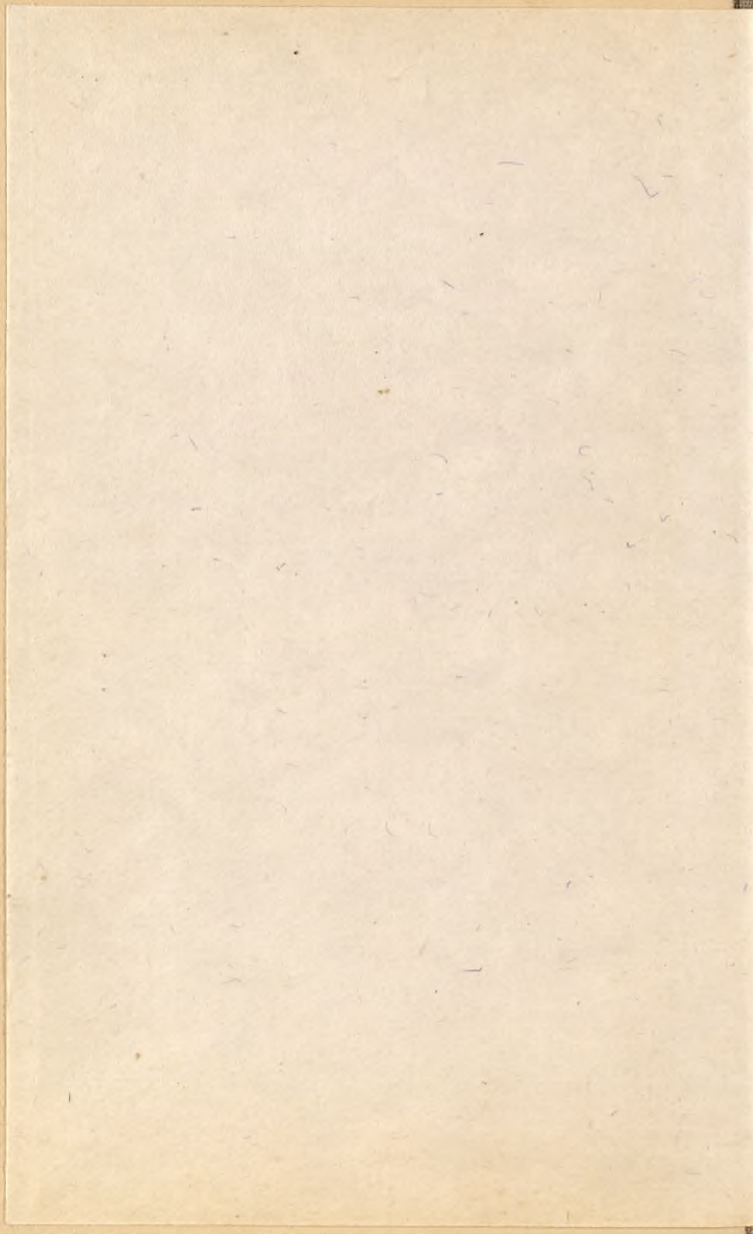
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





20





Turcy pod Wiedniem.

Opowiadanie historyczne
z czasów oblężenia Wiednia
przez Turków w roku 1683.



Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

Cena 40 h = 35 fen.

Nakładem Edwarda Feitzingera w Cieszynie (Śląsk austr.)
wyszły następujące piękne drukowane i ilustracyami ozdobione dziełka, zawierające powiastki i opowiadania.

Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży.

Cena każdego zwyczajnego dziełka **tylko 40 h = 35 fen.**,
przy większych lub oprawnych cena podana:

1. Abelino, straszny bandyta.
2. Córka sybirskiego wygnańca.
3. Jadwiga, oblubienica bandyty.
4. Jan Okpiświat (Sowizdrzał).
5. Krzysztof Kolumb i odkr. Ameryki.
6. Losy Genowefy, ciekawa historia.
7. Młynarz i jego dziecko, wędr. duchów.
8. Przygody Robinzona Kruzoe na morzu i lądzie.
9. Piękna Meluzyna, cud. historia.
10. Trzy piękne młynareczki.
11. Zamurowana dziewczyna.
12. Życie i czyny Rynał. Rynaldyniego.
13. Straszny niewiastobójca H. Schenk.
14. a) Ofiara intrygi cioci, obrazek z życia.
14. b) Rabin cudotwórca i Praktyczni i niepraktyczni, nowela i obrazek.
15. Kochaj swój obrządek, obrazek z życia ludu we wschodniej Galicyi.
16. Mistrz Twardowski, zajm. historia.
17. Książę Aleksander Menżykow.
18. Aleksander książę bułgarski.
19. Dr. Jan Faust, jego życie i sprawy.
20. Turcy p. Wiedniem, oblęż. Wiednia.
21. Piękna Magelona i Hrabia Piotr.
22. Historia o siedmiu mędrcach.
23. Robert Dyabeł, powieść z przeszłości.
24. Wilhelm Tell i jego sprzymierzeńcy.
25. Dziewica Orleańska, powieść histor.
26. Ks. Eugeniusz prawy rycerz.
27. Młyn dyab. na Górze Wiedeńskiej.
28. Echo z Afryki, pamiętnik wędr.
29. Szkieł z życia zwierzęcego.
30. Bliźnięta, historia z życia ludu.
31. Dwie nowe powiastki dla dzieci.
32. i 33. Józef Ignacy Kraszewski. Cena 80 h = 70 fen., w opr. 1.— K = 80 fen. w płótno eleg. 1.20 K = 1 Mk.
34. i 35. Nasze góry, malown. opisanie. T. 34 Karpaty. T. 35 Tatry.
36. Ondraszek, słynny dow. zbójców. Cena 50 h = 50 fen.
37. Zły duch Lumpacyusz Vagabundus.
38. Kara za grzechy, op. na tle prawdy.
39. Rybak, duch i król czarnych wysp.
40. Kawiec czarnoksiężnik, ciek. op.
41. Duch gór i jego siostry, pow.
42. Historia o rycerzu Zygfrydzie.
43. Tajemniczy duch, obrazek z Afryki.
44. Reinhold cudowne dziecię.
45. Wendelin z Hoellensteinu.
46. Gnom. (Ciekawa bajka).
47. i 48. Róża z Tannenburga. Opr. cena 90 h = 80 fen.
49. i 50. Cesarz Oktawian, zajmują pow. Opr. cena 90 h = 80 fen.
51. do 53. Fortunat i jego synowie, pow. z dawn. lat. Opr. cena 1.20 K = 1 mk.
54. Kazimierz Skaza, powiastka histor.
55. Trzy ciek. opow. czarodziejskie.
56. Zaczarowana sroka, ciek. pow.
57. Pocziwy Antoś. Z 24 rycin. Opr.
58. Dwie piękne historie o księciu Brun-cwiku i Styfrydzie.
59. Dobry Frydolin i nieg. Dytrych.
60. Jaskinia Beatusa, pow. z wiek. śred.
61. Wspomnienia z podr. do Londynu.
62. Gwiazda narodu polskiego i całej ludzkości. W stuletnią rocznicę powst. Kościuszki, nap. Fr. Kozdraś.
63. Imko, zwany Wiselka. Opowiadanie Bog. Hoffa. Cena 45 ct. = 75 fen.
64. Z naszej wsi. Jak Agata używała czarów aby jej krowy dużo mleka dawały. Z 10 rycinami.
65. Czarownica Szeged, histor. opow.
66. Wspomnienia z podróży do Ameryki. Cena 60 h = 50 fen.
67. Za oceany, opowieść lud.
68. Na rodz. ziemi, powieść dla ludu.
69. Wierny do śmierci, powieść historyczna z dziejów Śląska.
70. Antoni Nienasyt-k, pow. z sprawdziwego zdarzenia.
71. Giacomo, wódz bandytów w górach Kalabrejskich.
72. Baśni z 1001 nocy.
73. Bechsteina bajki i pow. Tom. 1.
74. " " " II.
75. Piękna Kazimiera " i " " " II. powieść hiszpańska.
76. Marta i Marya, dwie pow. wiejskie.
77. Ojciec, syn i wnuk, pow. wiejska.
78. Zamek w jaskini Xa, Xa, opowiad.
79. Zbrodnia i kara, obrazek historyczny z r. 1846.
80. i 81. Komedijki dla dzieci i młodzieży. Cena 80 h.

Tomiki w okładce

z przepysznym kolor. obrazkiem.

200. Śnieżny grób w Sierra.
201. Porwane dziecko, opow. z Turcyi.
202. Kama Samojedka, opow. histor.
203. Jeniec Szykitów, z życia indyjskich.
204. Mareipotama, córka Pampasów.
205. Wielkie skarby złota w Sierra New.
206. Na granicy kraju Indian.
207. Koloniści u źródeł rzeki Susquehan.
208. Harold król cyganów, op. z Węgier.
209. Szkalpierzce Południowej Ameryki.
210. Boguś, młody pustelnik.
211. Dobromił, czyli cudowne są drogi Pańskie.
212. Pomiędzy ludożercami w Sumatrze.
213. Dziwne podróże na lądzie i na morzu.

Dokładne spisy książek darmo i franko.

Roman
Pawlas Roman
Pawlas
Radlin

Turcy pod Wiedniem.

Opowiadanie historyczne
z czasów oblężenia Wiednia przez Turków
w roku 1683.



Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

< 1913 >



KD I 4677

KD 4677

C. i K. nadworna drukarnia Karola Prochaski w Cieszynie.

JAN BRODA

D 195/116
20,00

I.

Ciężkie, groźne chmury wojenne zebrały się w r. 1683 nad austriackimi krajami. Po raz trzeci nadciągali Turcy pod piękne stołeczne miasto Wiedeń, które ostatni raz oblegali w r. 1529. Iskra wojennego pożaru roznieciła się na Węgrzech. Węgrzy powstali przeciwko cesarskiemu rządowi, gdyż ten wzbraniał się przyzwolić na ich liczne prośby i żądania, i połączyli się z Turkami, starym nieprzyjacielem Austrii i chrześcijaństwa. Na czele węgierskiej rewolucyi stał hrabia Emeryk Tökely, uznany przez sułtana Mohameta IV. za króla środkowych Węgier. Ten zasilił armię turecką znakomitą swoją konnicą. Kraje niemieckie krwawiły jeszcze z ran wojny trzydziestoletniej, a książęta ich znowu byli w wzajemnem nieporozumieniu. Na granicy zachodniej czyhała Francya dogodnej sposobności, by chciwą swą rękę wyciągnąć na terytorium niemieckie. Król Ludwik XIV. podbudzał do wojny Węgry i Konstantynopol a sułtana zaopatrzył potężną artylerią. Wprawdzie znajdowało się w radzie sułtańskiej wielu rozumnych i doświadczonych mężów, którzy rozpoczęcia wojny odradzali wytrwale, jednak potężny wielki wezyr Kara Mustafa stał na czele partyi wojennej i przedłożył swój plan sułtanowi, według którego z wielką łatwością miano zdobyć Wiedeń, a temsamem miano osiągnąć klucz do Czech, Morawy i całych wschodnich Niemców. Cesarz Leopold I., który wówczas na tronie austriackim zasiadał, byłby chętnie zachował spokój, lecz sułtan nałożył nań brzemię tak niemożliwych warunków, że musiał je stanowczo odrzucić, dając w ten sposób także hasło do boju. Austriacka armia

w porównaniu z turecką była bardzo słaba. Po oddzieleniu oddziałów, które musiały czuwać nad bezpieczeństwem Raab, Komorna i Leopoldstadtu, zostało się w stolicy jeszcze 12.000 piechoty i 11.000 jezdnych, więc razem ludzi 23.000. Przeciwno tej garstce stawiał sułtan 200.000 ludzi z 300 armatami. Prócz tego było w obozie 60.000 męskiej służby, pilnującej prowiantu, 10.000 wozów, 2000 wielbłądów, wiele słońców i całe tabuny bydła. W tak potężnej sile parli Turcy na Wiedeń. Aż do Adryanopola dowodził armii z sztandarem Mahometa proroka sam sułtan, a do armii jego przyłączyli się jeszcze: han tatarski z Krymu, księżę Siedmiogrodu, gospodar mołdawski i księżę wołoski.

My wszakże, kochany czytelniku, poprzedzimy cokolwiek Turków, przenosząc się w mglisty czerwcowy poranek do jednego z mniejszych t. zw. „werków“ polnych pod Wiedniem. Ognie strażnicze były rozpalone, a załoga cała spoczywała jeszcze w śnie pogrążona. Jeden tylko młody strzelec czyli „arkebusjer“ stał na wystającym rogu szańca, wsparty na lawecie armatniej, oczyma i uszami uważnie czegoś badając. Spoglądał przez białą mgłę, która tam w dole nad brzegami Litawy lekkie swe rozścierała skrzydła, jakby chciał ją przedrzeć swym sokolim wzrokiem; to znowu przykładł do ziemi uszy i zdawało mu się, jak gdyby słyszał odległy tętent olbrzymiej konnicy i głośnie komenderowanie. Wreszcie podniósł się wiatr i mgłę rozpędził. Równocześnie wynurzyły się z niej kościelne wieże rozlicznych wiosek doliny, która również w całej swej malowniczości odsłoniła się przed okiem widza. Na dolinie tej, pomiędzy dwiema wioskami, sokole oko uważnego strzelca rozeznało liczny zastęp konnicy w turbanach na głowie, z złożonemi lancami i za-

krzywionym kordem przy boku, który spuszczał się ku laskowi nad Litawą. Na widok tej dawno oczekiwanej forpocztu nieprzyjacielskiej, młodemu strzelcowi zawrzała krew w żyłach jak ogień gorąca. Wioski i folwarki dokoła spoczywały jeszcze w niezamąconym spokoju, a w kilka godzin później miały może kąpać się we krwi i płomieniach, mężowie porwać się do zardzewiałego oręża, kobiety i dzieci wystawić się na pastwę i hańbę nieprzyjaciela. Nagle zabłysło oko strzelca śmiałym postanowieniem. Turcy nie mogli i nie powinni przejść w dół całą rzekę, on chciał im ochotę do tego odebrać.

Konrad — tak nazywał się nasz młody wojak — odłożył szybko na bok swą strzelbę, wyjął nabój z tylnej skrzyni armatniej, nabił lawetę i skierował ją na ten punkt przeciwnego brzegu Litawy, gdzieby Turcy daremnie przejść usiłowali. Wszystko przygotował szybko i znakomicie, bo chociaż właściwa jego bronią była strzelba a nie armata, przecież i na artyleryjskiej sztuce znał się doskonale. Nie trwało długo, jak dwóch jeźdźców przyskoczyło do nadbrzeżnego lasku. Ale zaledwie powstrzymali swe konie, zagrzmiał straszny ryk działa, a za nim dzikie wycia nad brzegiem rzeki w dolinie. A można sobie wyobrazić, jak skoczyli na nogi wszyscy spiący we „werku“.*) „Turcy! Turcy!“ krzyczało wszystko w wielkiem zamieszaniu, podczas gdy Konrad powtórnie już działo nabijał. Zanim rozmarzeni jeszcze snem czescy artylerzyści przyszli całkowicie do siebie, zaryczał drugi strzał ze szanca w dolinę, a na dole wzniósł się powtórny dziki hałas nieprzyjaciela. Kiedy opadł biały obłok z prochu, można było dostrzedz cały oddział Turków w dzikim zamieszaniu

*) Werk, techniczne wyrażenie, oznaczające rodzaj podziemnej kasarni, czyli szanцу.

rzucający się do ucieczki, a u brzegów pozostawiony tabor z końmi i wielbłędami, w samych zaś falach Litawy dziesiątki wojowników zabitych lub rannych, walczących jeszcze ze zbliżającą się śmiercią. Kiedy już w wioskach sąsiednich ozwały się dzwony na alarm, a Konrad po raz trzeci działo nabijał, przybiegł gruby kapitan Sztucberger z oficerskiego baraku. „Łotrze! oślepy szwabie! przeklęty!“ zawrzeszczał nad niepowołanym artylerzystą, „czy dyabła masz w swem cielsku?“

„Nie! panie kapitanie,“ odrzekł Konrad spokojnie, „podsmoliłem tylko trochę barbarzyńskim jeźdźcom, tam w dole!“

„Do milion elementów!“ krzyczał dalej rozgniewany kapitan, „czy nie wiesz, że za pierwszy bezpożyteczny alarm, za pierwszy zawczesny strzał armatni czeka kara śmierci?“

„Ale ileżby to ludzi było niewinnie wymordowanych,“ rzekł Konrad, „gdyby nieprzyjaciółom udała się przeprawa!“

„Milcz i słuchaj!“ krzyknął kapitan. „Obowiązkiem twoim było zameldować mi o przybyciu Turków, a wtedy ja byłbym zameldował dalej do pana oberszta, który stoi kwaterą w Trautmannsdorfie, a ten dopiero rozstrzygnąłby ostatecznie, co czynić należy. Ot, taki jest porządek, takie prawo!“

Kapitan wysłał natychmiast jednego z żołnierzy do kwatery oberszta, aby zawiadomił go o stanie rzeczy.

„Życzylbym sobie, zaprawdę,“ rzekł dalej kapitan, „abyś na miotle jakiej wyleciał w powietrze, bo nie potrzebowałbym jednego z najlepszych moich żołnierzy okuć w żelaza. Czyś nie przypomniał sobie, człowiecze, że za taką insubordynację czeka cię kara śmierci?“

„Niech mię to i głowę kosztuje,“ odrzekł najspokojniej Konrad, „jeżeli to tylko jest zacząć

śmiercią żołnierza.“ W duchu jednak myślał: „Muszą przecież w radzie wojennej zasiadać bardziej rozumni ludzie, od tego oficera, który to głupie rozporządzenie zalecił!“

Na rozkaz kapitana feldwebel od artylerii czyli t. zw. feuerwerker, założył na ręce strzelca kajdany a w godzinę później przybyło dwóch kirasyerów z Trautmannsdorfu, by pojmanego odstawić. Droga, którą jeniec w towarzystwie swej straży miał przebyć, była długa; gdyż miał być odesłanym do wojskowego więzienia w Rotenturm. Gościńce roily się od tłumów uciekających, pieszych, konnych i na wozach, którzy przybywali z stron południowych, by schronić się w obwarowanej stolicy. Im więcej zbliżali się do miasta, tem gęściejszymi stawały się tłumy uciekających; na przedmieściach ludność pakowała swój najniezbędniejszy dobytek, by stąd odejść, a skryć się poza wałami wewnętrznej części miasta. Tu stali ludzie w gęstych szeregach, którzy nie mogli znaleźć miejsca, ukryć się choćby pod prostym dachem. W końcu osiągnięto Rotenturmu, jeniec został przez dwóch kirasyerów oddany w ręce tamecznej władzy, a za chwilę zamknęły się za nim ciężkie żelazne drzwi aresztu. Chociaż łagodnie i względnie zakomunikował wiadomość o strzelcu kapitan Sztuchberger, to przecież czyn Konrada nie mógł być zamilczanym, że wystrzelił wielkie działo szanćowe, postępując wbrew wojskowemu porządkowi. Śledztwo przeprowadzało dwóch pisarzy, głowy nadzwyczaj ograniczone. Wyżsi urzędnicy wojskowi, którzy właściwie sprawę tę na siebie wziąć winni, byli obecnie ważniejszymi zajęci sprawami, a głównie myśleli o ocaleniu majątków swych i rodzin. Pisarze zajmowali się zwykle tylko ordynarnymi żołnierzami, którzy przekroczyli kradzieżą lub plądrowaniem.

Z nimi nie czyniono sobie ceregieli; było dosyć, aby świat od nich uwolnić; tacy więc zwykle skazywani byli na taniec szubieniczny. Do tej sorty bez dalszych badań zaliczono także i Konrada. Wygodni panowie pisarze nie zechcieli sobie nawet zadać tyle trudu, by sprawę jego dokładnie rozpatrzyć, dość im było tego, że im został do osądzenia oddany, by wyrok swój wydać. To też gdy po kilku dniach podano mu protokół do podpisu, Konrad oparł się temu, gdyż główną rzecz, t. j. własną jego obronę i tłumaczenie się, w nim pominięto.

„Czy to tam jest lub nie jest powtórzone w protokole, to wszystko jedno,“ odrzekł jeden z pisarzy. „Przecież tu człowiek nie ma czasu, całą rzecz przeglądać. Pan oberszt-wachmistrz z Tieftrunk wyda wyrok, rada wojenna go potwierdzi, a wtedy albo będziesz musiał biedz przez różgi, albo zostaniesz oddany ojcu Euzebiuszowi, by cię przygotował do niebieskiej podróży, zanim ci kat stryczek na szyi zakręci. Tak kochanku, teraz wiesz, co cię czeka!“ Przytem surowy pisarz dał znak pachołkowi więziennemu, a ten popchnął jeńca naprzód przed sobą.

Do ciemnej celi więziennej, przez otwór gęsto zakratowany dochodził zaledwie słaby odbłysek słonecznego światła. Morawscy grenadyerzy trzymali straż przy wejściu, coraz nowych przyjmując skazańców. Byli to ludzie zdziczali, wielu z nich brało udział w pierwszych potyczkach, przebrani, bądź po stronie tureckiej, bądź po węgierskiej. Byli więc nietylko dezterterami z cesarskich regimentów, ale i zdrajcami. Wszyscy schodzili się do jednej wielkiej izby, a stamtąd dopiero rozlokowywano ich w oddzielne celki. Konrad także dostał się w ten tłum rozbestwiony i z obrzydzeniem odwrócił się od niego,

patrzac ze smutkiem przez kraty okna na szare i chmurne niebo. Tak czekać musiał w towarzystwie tych łotrów dopóty, dopóki wachmistrz nie wyznaczył mu numeru celi.

Kiedy Konrad spojrział na zielony wał, na którym błyszczała rosa blaskiem dyamentów, smutno zrobiło mu się w duszy. Myśl, że utracił wolność i że zginie wkrótce nędzną śmiercią, doprowadzała go do szaleństwa. Łzy spłynęły mu z oczu; w bezgranicznym gniewie na krzyczącą niesprawiedliwość, z jaką się z nim obchodzono, porwał za swe łańcuchy i począł rwać nimi. Wtedy uczuł łagodne dotknięcie ręki na swem ramieniu, a obejrzawszy się, spostrzegł za sobą łagodne oblicze mnicha-kapucyna.

„Co ci jest, mój synu?“ zapytał kapucyn pociągającym głosem. „Jakież przestępstwo przywiodło cię do tego smutnego miejsca?“

„Jakie przestępstwo, czcigodny ojcze?“ powtórzył Konrad, spojrzawszy powtórnie przez łyzy w oblicze mnicha. „Przestępstwem mojem jest właściwie to, że jestem żołnierzem i ramienia mego udzieliłem cesarzowi w obronie Austrii i chrześcijaństwa. Pozostaw mię mej boleści. Jesteście pewnie ojcem, który towarzyszy skazańcom w ich ostatniej godzinie. Dosyć będzie, gdy mię chcecie pocieszyć pod samą szubienicą!“

„Nieszczęście twe robi cię uszczypliwym! mój synu,“ odrzekł mnich łagodnie. „Nie wyglądasz na zwykłego przestępcę, który kłócił się w grzechach!“

„To też nie jestem nim,“ odrzekł Konrad, „i nie uczyniłem nic takiego, zacobym teraz miał pokutować. Każdy dzielny żołnierz, który serce ma w właściwem miejscu, byłby to samo uczynił; a mimo

tego dostałem się tutaj, by nędzni pisarze zrobili ze mnie zwykłego przestępcę, jak wielu z tych, których dzisiaj tu przypędzono. Idźcie na dół ojciec i każcie sobie podać mój protokół, jaki sporządził ten łotr pisarczyk, aby mię jako ostatniego zbrodniarza napiętnować, któremu tylko dwie pozostają ostateczności: różgi lub szubienica!”

„Stul pysk, łajdaku i nie rezonuj!” wrzasnął dozorca, który słyszał tę mowę i dał mu w bok potężnego kulaka.

„Łotrze, nędzny szubieniczniku!” zawył rozwścieklony tą obelgą Konrad, potężnem również kopnięciem odepchnawszy od siebie dozorcę. Ale natychmiast otoczyli go grenadyerzy morawscy i byłby zginął pod ich kolbami, gdyby się był do nich nie wmieszał kapucyn. „Nie daj się powodować gniewowi,” napominał go łagodnie, „ślepa złość tylko los twój pogorszy. Miej cierpliwość, ja już zajmę się tobą.”

Wśród tego przyprowadził dozorca dwóch więziennych pachołków, rozkazując im, wepchnąć skazańca do najgłębszego lochu. Pomimo że kapucyn starał się temu zapobiedz, Konrada wśród kulaków i naśmiewań zaprowadzono do tak ciemnego więzienia, że ledwo mógł dokoła rozeznaczyć przedmioty. Wszystkiego zaś było tam: drewniana prycza i zgniła słoma. Tu opanowało biednego zwątpienie; modlitwy i klątwy dobywały się z ust jego naprzemian, dopóki z wycieńczenia nie zasnął głęboko. Jak długo sen ten mógł trwać, nie wiedział — obudziły go dopiero głosy dozorca i kapucyna, którzy weszli do jego celi.

„Chodź z nami, mój synu,” zawołał kapucyn. „Uwolnią cię z łańcuchów i dadzą inne więzienie i inni sędziowie jeszcze raz sprawę twą roztrząsą.”

„Czcigodny ojcze!“ zawołał Konrad, „jesteś prawdziwym aniołem z nieba!“

Przyjaciół nasz uwolniony został z okropnego lochu i wszedł na oświecony podwórzec, gdzie mu strażnik więzienny łańcuchy natychmiast odwiązał. Kiedy już ręce miał wolne, pierwszą jego czynnością było. uchwycić rękę kapucyna i złożyć na niej wdzięczny pocałunek. Ten kazał mu usiąść na ławie i podał mu flaszkę prawdziwego węgryna, który rozgrzał skrzeple członki więźnia.

„W interesie twoim,“ począł kapucyn, „byłem u oberszta Tieftrunka i rozpytałem się o twą sprawę. Niestety, nie wiele mogę ci przynieść pocieszającego. Uczyniłeś wbrew rozkazom twego przełożonego, podczas gdy obowiązek żołnierza zmusza cię do bezwzględnej posłuszeństwa. Chociażby twój czyn był zbawiennym nawet, wobec prawa wojkowego zasługuje na karę. Żał mi cię bardzo, pocciwy Konradzie i chciałbym ci chętnie dopomódz. Nie znasz nikogo, któryby ci mógł uzyskać ulaskawienie?“

Jeniec smutnie wstrząsnął głową. „Któżby się chciał zając biednym żołnierzem? Widzę, że mnie już nie obronisz, ojcze, i na śmierć mnie skazą!“

„Tak źle sprawa twoja nie stoi“, odrzekł kapucyn, „będziesz tylko musiał biegać przez różgi.“

„Co, różgi?“ zawołał Konrad z oburzeniem. „Wolałbym być porąbanym w kawałki od szabel tureckich, lub postradać głowę, by potem zatkniętą była na spisie przed pałacem wielkiego wezyra, — byłaby to przynajmniej śmierć godna żołnierza. Ale różgi? Nie! wolę sam sobie życie odebrać, niż przeżyć tę hańbę.“

„Nie rozpaczaj tak, mój synu,“ łagodził go kapucyn, „może masz matkę lub ojca, którymby śmierć twa była największem nieszczęściem i katuszą.“

„O, moja biedna matka,” westchnął Konrad, a dwie krople łez spłynęły mu po obliczu.

„Masz małą, delikatną rękę, na której nie znać śladu ciężkiej pracy,” mówił dalej kapucyn, „widzę, że nie urodziłeś się na zwykłego żołnierza. Nie chcę się mieszać w twoje tajemnice, ale choćby dla matki twojej chciałbym cię uratować. Zwrócę się do biskupa Kolonicza! Jest to mąż tak czcigodny, jakiego rzadko napotkać; być może, iż wstawienie się jego zjedna ci łaskę i pomoc, bo o ile ja radzę, ręka twoja i rycerskie serce zdadzą się jeszcze ojczyźnie i cesarzowi. Najlepiejby było, gdybyś sam listownie krótko a jaskrawie położenie twoje jemu opowiedział i prosił o jego opiekę. Resztę pozostaw mnie! Oto papier i pióro!” rzekł kapucyn, oboje z sutanny swej wyjmując. — „Pisz, a ja tymczasem obrócę się gdzie za pożywieniem dla ciebie!”

Konrad z wdzięcznością bez granic ucałował ręce szlachetnego mnicha i napisał do biskupa prośbę po łacinie.

Kiedy mnich z gorącą potrawą dla więźnia powrócił, prośba już była gotowa i odebrana. Z podziwieniem spoglądał wtenczas mnich na papier i na więźnia.

„Ho, ho, to klasyczna łacina, mój synu!” zawołał zdziwiony. „Gdzieś się jej wyuczył?”

„Nie pytaj, czcigodny ojcze!” prosił Konrad. „Napisałem po łacinie nie dlatego, aby się pochwalić, ale aby dozorczy o treści jego nie mogli nic wiedzieć.”

„A więc, kochany przyjacielu!” rzekł wesoło kapucyn. „Pismo twoje dziś jeszcze pójdzie do biskupa. Tak jest, mój przyjacielu. Nazywam cię zaś tak dlatego, bo jesteś czemś więcej, niżeli się pokazujesz. Bądź zdrow i wierz ojcu Euzebiuszowi!”

Gorącem uciśnieniem ręki pożegnał mnich naszego skazańca, jak najostrzej nakazując dozorczy, by się z nim łagodnie obchodzono.

II.

Zamiast na półzgniłej słomie, przepędził Konrad już następną noc na wygodnem łóżku. Również użyczono mu wielu ułatwień, a to za staraniem ojca Euzebiusza. Następnego poranku znowu zawitał do niego kapucyn, ale już w towarzystwie prałata, ubranego w fiolety i złoty łańcuch na piersiach. Mimo swego duchownego stroju miał w sobie coś wojskowego, a piękne jego oczy uderzały śmiałością. Był nim hrabia Kolonicz, biskup z Neustadtu.

„Dostałeś się więc do więzienia za to, że sprzeciwiłeś się rozkazowi komendanta,“ zaczął biskup, pilnie obserwując jeńca. „Powiedz, kto popełnia takie głupstwo?“

Konrad nachmurzył czoła.

„Rozumię cię!“ mówił biskup dalej. „Urato-
wałeś zapewne kilkaset ludzi niewinnych od śmierci
lub niewoli. Pod żołnierską twą bluzą bije serce
szlachetne. Nie jesteś też tem, czem się być mie-
nisz. Poznaję to, patrząc na ciebie; poznałem już,
czytając twoje pismo. Gdzieś wyuczył się tej klasycznej
łaciny, w której do mnie pisałeś?“

„Dobrą przeszedłem szkołę! wysoki ojcie,“ od-
rzekł Konrad. „Jestem podróżującym uczniem!“

„Nie jesteś względem mnie otwarty!“ rzekł
biskup, potrząsając niedowierzająco głową. „Nie będę
się wdzierał w twoje tajemnice, ale wezmę żywy
współdział w obronie twego losu i to z większą
wiarą w ciebie przyjacielu, aniżeli ty we mnie!“

Konrad został tem szlachetnem postępowaniem

zawstydzony. „Istotnie,“ rzekł, „mam przyczynę milczeć o mej przeszłości. Wy, najdostojniejszy panie, zapewne surowo mię ukarzecie, możecie nawet odmówić mi duchownej pomocy, ale ręczę Wam, że niczem nie przewiniłem, abym był niegodny Waszej ojcowskiej łaski i pomocy!“

„Mówisz o duchownej karze,“ rzekł biskup, „czyś nie uciekł z jakiego klasztoru, lub nie złamał ślubów, zaprzysiężonych u stopni ołtarza?“

„Nie zgrzeszyłem niczem przeciw kościołowi“, odrzekł pojmany, „ale nie chciałem przeciw memu powołaniu i skłonnościom wstąpić do zakonu; byłbym służył kościołowi tylko pół sercem!“

Konrad opowiedział dalej obudwu duchownym, co następuje:

„Rodzice moi posiadają w Górnej Szwabii dobra. Kiedy po kilku miesiącach małżeństwa popadł mój ojciec w chorobę, matka moja, cechująca się od dzieciństwa pobożnością, w myśli uratowania swego męża uczyniła ślub uroczysty, że pierwsze swe dziecię poświęci Bogu na służbę. Mój ojciec wkrótce wyzdrowiał, a matka udarowała go parą bliźniąt. Byli nimi siostra moja Marya i ja. Ojciec mój poradził się natychmiast biskupa Konstancyi, jak wypełnić wobec takiego wypadku przysięgę. Biskup odpowiedział, że siostra, jako wpierw o kilka godzin urodzona, powinna być poświęcona do życia zakonnego. Gdyby zaś umarła wpierw, zanimby śluby zakonne przyjęła, ja miałem jej miejsce zastąpić. Siostra moja kształciła się w jednym z klasztorów, ja zaś zostałem na dobrach ojca, otrzymawszy również należne wykształcenie. Uczyłem się pilnie, ale całą moją namiętnością była gorąca chęć zostania rycerzem i walczenia w bitwie!“

„Tak, tak, to zwykła huć młodzieńca pełnego ognia,“ przerwał uśmiechając się biskup. „Ja sam

przypominam sobie moją młodość w tem świetle. No, ale dalej!”

„Nie myślałem nigdy o ślubie matki, jaki ciążył nad moją głową,” ciągnął dalej Konrad, „aż do 18. roku życia. Wtenczas umarła moja siostra Marya, a ja przyszedłem do przekonania, że teraz trzeba będzie przyjąć śluby zakonne i wesołe życie rycerza zamienić na ciemne mury klasztoru. Prośby moje i płacze na nic się nie zdały; nawet ojciec nie mógł mi w tem pomóc, bo biskup konstancki na wypełnienie przysięgi nalegał. W ten sposób dostałem się do klasztoru Benedyktynów, gdzie czułem się bardzo nieszczęśliwym. Jeden z moich ojców duchownych pogodził mię z czasem z mym losem, umiejąc uderzyć w mą słabą stronę. Radził mi, abym po ukończeniu studyów starał się o przyjęcie do wielkiego kolegium Stowarzyszenia Jezusowego w Rzymie, aby się wykształcić na misyonarza, głoszącego wiarę Chrystusową. Wtedy będę mógł objeżdżać świat cały; pójdę w kraj Mahometanów i do dzikich ludów Ameryki. To pociągało mię bardzo; po ukończeniu studyów klasztornych udałem się istotnie do tego kolegium. Tam przygotowywałem się żywo do mego posłannictwa i uczyłem się języków: greckiego, tureckiego i arabskiego, abym jak najspieszniej odeślanym był do odległej Lewanty. Ale tam ani myślano o tem i tęsknota moja za podróżami wzrastała się z dniem każdym. Kiedy więc zwłoka wydawała mi się za długą, uciekłem z kolegium.

Wśród przeróżnych przygód i niebezpieczeństw jeździłem tu i ówdzie jako wędrowny uczeń. W końcu zmuszony byłem przystać u jednego kuglarza za pomocnika i z nim objechałem całą Słowiańszczyznę, zostając pod berłem tureckim. Wtedy doszła mię wiadomość o przygotowującej się nowej wyprawie

półksiężycą na Wiedeń. Opuściłem więc moich towarzyszy i przedarłem się aż do Styryi, gdzie wstąpiłem do oddziału strzelców. Co zresztą się stało, wiecie już wyśoki panie i ojciec!” dokończył Konrad.

Biskup spoglądał na jeńca jakiś czas wzrokiem poważnym, a nawet surowym. Potem zapytał: „Czyś nie pomyślał o tem, że musisz ściągnąć na siebie przekleństwo Boże, za to, żeś złamał ślub matki?”

„O! najczcigodniejszy biskupie,” wtrącił teraz kapucyn, „cóżby za sługę zyskał kościół, gdyby mu się on nie oddał całą duszą? Sprawca ludzkich losów, który w pierś tego młodzieńca wlał pragnienie wolności, znajdzie środki, uczynienia go użytecznym państwu, na innej drodze!”

„Masz słuszość, ojciec!” odrzekł biskup łagodnie. „Oby Bóg kierował twem sercem,” obrócił się teraz biskup do jeńca, „a co ma teraz nastąpić, zawierz tylko mnie i memu słowu. Otrzymasz wolność i nie podlegniesz żadnej hańbiącej karze za to, że setki spokojnych wieśniaków ochroniłeś od śmierci i utraty mienia. Ręczę ci za to mem słowem!”

Prałat podał młodzieńcowi rękę, którą ten ucałował z przejęciem i wdzięcznością, i oddalił się znowu z księdzem Euzebiuszem. Musimy tu powiedzieć kilka słów o biskupie Koloniczu, który podczas oblężenia Wiednia miał ważną odegrać rolę. Szlachetny ten duchowny miał obecnie lat 53, a w młodości swej należał do kawalerów maltańskich. Wskutek bohaterskich swych czynów, jakimi odznaczył się w morskich bitwach przeciwko Turkom, mianowany został w tej gwardyi komturem. Później wstąpił w stan duchowny i od r. 1670 był biskupem w Wiener-Neustadt. Godność tę piastował z wielką siłą i ludzkością.

Skoro Kolonicz opuścił Konrada, udał się zaraz na dwór cesarski, gdzie miał wziąć udział w radzie wojennej.

Tu właśnie zebrani byli cesarscy doradcy i oficerowie. W jednej framudze okna stał cesarz Leopold i spoglądał z strapioną miną na wał i przedmieścia, śledząc z trwogą południowy zachód, a na horyzoncie jego słupy dymu i ognia, które od czasu do czasu wystrzelały w górę. Kiedy wszedł biskup, cesarz podbiegł doń żywo i serdecznie przywitał.

„Najczcigodniejszy biskupie, czy otrzymaliście mój list?“ zapytał.

Biskup potwierdził głębokiem schyleniem głowy. „Jego Majestat może być zawsze pewnym,“ odrzekł potem, „że głowa moja i ramię stoi na usługi Wasze!“

„Wiedziałem o tem naprzód,“ odrzekł cesarz, „i dlatego właśnie mianowałem Go moim tajnym radcą. Dzisiaj raczysz Wasza Ekscelencya wziąć po raz pierwszy udział w radzie wojennej!“

Odebrawszy z rąk cesarza dekret i podziękawszy zań powtórnie głębokiem nachyleniem ciała, usiadł Kolonicz na wyznaczonem miejscu, by w radzie uczestniczyć.

„Radzą mi,“ rozpoczął najpierw cesarz, „abym Wiedeń opuścił i wraz z dworem umieścił się w znacznej odległości poza teatrem wojny. Co o tem myślicie, kochany hrabio-biskupie?“

„Gdyby Majestat Jego był żołnierzem,“ odrzekł biskup Kolonicz, do którego właśnie skierowane było pytanie, „nie byłoby lepszej rady nad tę, by Wasza Miłość pozostała wraz z nami i sama stanęła na czele załogi miastowej. Ale Majestat Wasz oddawna więcej opiekował się pokojem niż surowem wojennem rzemiosłem. Niech więc Wasza cesarska Mość raczy

wyznaczyć załódze doświadczonego obrońcę jak również znakomitego wodza armii, za murami miasta stojącej; Wasza cesarska Mość nie może narażać się na niebezpieczeństwo, ale jako wierna głowa państwa musi zastępować ją i strzedz korony cesarskiej, aby nie przerwała się łączność pomiędzy cesarzem a państwem !“

„Chętnie dzieliłbym trudy i niebezpieczeństwa wraz z obywatelami mego dobrego miasta,“ odrzekł na to cesarz, „ale widzę dobrze, że koniecznością jest utrzymać wspomnianą przez najczcigodniejszego hrabiego-biskupa łączność z całym państwem. Będę musiał cały mój wpływ skierować na to, aby trzystu książąt państwowych i wolne miasta wszystkie dały nam pomoc zbrojną. Zanim to nastąpi i zanim nam król polski pomocy swej łaskawej udzieli, musimy czynić co najważniejsze, t. j. trzymać się w mieście wszelkimi siłami. Król polski Sobieski, do którego posłów wyśle natychmiast, sędzę, że nie odmówi nam swego wypróbowanego w bojach z Turkami oręża, gdyż znamy go jako szlachetnego, prawdziwego lwa rycerza i wiernego chrześcijanina. Co się zaś tyczy naczelnego dowództwa armii, nie mogę oddać go w lepsze ręce, jak w mego szwagra, księcia Karola V. lotaryńskiego. Ale i załoga miasta musi być powierzona wypróbowanemu i nieustraszonemu wodzowi !“

„Majestat Wasz ma słusznie,“ odparł biskup Kolonicz. „Brakuje nam jasnej głowy, prawdziwego sprytnego przywódcy. Nie chcę podawać nazwisk, ale rozkazy wyszłe od kilku oficerów Waszych, świadczą o takim braku rozumu, że to aż wszelkie granice przechodzi. Tak n. p. przed kilku dniami wyższy jeden oficer wydał niepojęte rozporządzenie, że z szanów położonych nad Litawą, nie wolno dać

ani jednego strzału, aż za pozwoleniem komendanta regimentu, który w szańcach nie mieszka, ale aż o kilka mil od nich. Pewnego poranku jeźdźcy tatarscy chcieli Litawę przepłynąć. Spostrzegł to jeden strzelec. Widzi sąsiednie wsie i miasteczka zagrożone śmiercią i pożarem, nabija więc kartacz i kilkoma celnymi strzałami odpędza silny oddział od rzeki, który w popłochu daleko od Litawy odbiega. Na alarm ten odzywają się już wszystkie dzwony wsi i miasteczek, mieszkańcy ich już mogą się bronić, a strzelec . . .“

„Jak się nazywa ten dzielny człowiek?“ przerwał cesarz mocno wzruszony.

„Siedzi w więzieniu w Rotenturm i oczekuje wyroku, który go skazał na różgi,“ dokończył Kolonicz.

„Nie może być, hrabio!“

„Ale niestety, prawdą to jest świętą. Jedną ręką pisarza w imieniu opieki i sądu państwa czyni sobie z tak ważnego obowiązku grę najbezcenniejszą, jedną miarką mierzy winnych i niewinnych, aby sobie tylko ile możności pracę, i tak już niegodziwie zhańbioną, jeszcze więcej ułatwić. W takich to obrzydliwych sprawach, w tak krzyczących niesprawiedliwością wyrokach, posługują się ci zbrodniarze, gorsi od tych, których sądzą imieniem Waszej Cesarskiej Mości!“

Rada wojenna aż skamieniała prawie na wieść o takim lekceważeniu sobie monarchy i nędznem deptaniu sprawiedliwości, o jakim wspomniał biskup Kolonicz.

„Na słowo moje cesarskie,“ odparł oburzony cesarz, „dłużej tak być nie może! W oblężonym Wiedniu nie możemy posługiwać się próżniaczymi

pisarzami. Po skończeniu sesyi ośmiele się Was poprosić, najczcigodniejszy hrabio-biskupie, o udanie się natychmiastowe do więzienia z moim pardonem dla skazańca i proszę Was, weźcie go w swoją dalszą opiekę. Ja także mu szlachetnego zapалу nie zapomnę! A teraz po chwilowem przerwaniu sesyi poboczną sprawą, przystąpmy do porządku dziennego. Rozchodzi się teraz o mianowanie dzielnego komendanta twierdzy i gubernatora naszego kochanego Wiednia!“

„Dla objęcia tej godności nie widzę w całym państwie godniejszego i najzdatniejszego, jak namiestnika Morawy, hrabiego Rüdiger Starhemberga!“ rzekł biskup.

„I ja teraz właśnie o nim myślałem,“ odparł cesarz Leopold, bardzo ze zgody myśli uradowany. „Skladam Wam więc za tę rozumną poradę serdeczne dzięki!“

Zgromadzenie jednogłośnie przyzwoliło na podanych dowódców, poczem cesarz zwrócił się do jednego z oficerów i rzekł: „Zechcesz pan szwagrowi memu, księciu Karolowi Lotaryńskiemu sztab komandorski, a dzielnemu hrabiemu Rüdigerowi Starhembergowi główne dowództwo załogi naszego miasta oświadczyć i dyplomy w ręce ich złożyć! A Wy panie oberszcie,“ rzekł cesarz, zwróciwszy się do innego oficera, „udajcie się natychmiast do rotenburmskiego więzienia, by wygnać i uwięzić niegodziwych pisarzy i by porządek w całej twierdzy surowo przywrócić!“

Ogólne zadowolenie towarzyszyło tym słowom. Poczem przeciągnięto jeszcze posiedzenie; postanowienia, które nie wchodzą jednak w nasze opowiadanie, zamilczanemi zostają.

III.

Konrad uwolnionym został z pod wyroku pisarzy i wypuszczonym z więzienia. Już robiło się ciemno, gdy pozostawił za sobą zimne mury więzienne i swobodny przez 'ulice Wiednia przechodził. Droga w świat daleki stała dlań teraz otworem, nikt nie śmiał go w mieście zatrzymać, mógł zagrożone miasto opuścić, by nie narażać się na niebezpieczeństwo. Jednak postanowił inaczej, a mianowicie życie swe i siły poświęcić ocaleniu Wiednia i niemieckich granic. Idąc tak i rozmyślając, do któregoby się pułku przyłączyć, zauważył, że coraz więcej gromadzi się ludzi a wszyscy w jednym dążą kierunku; wkrótce znalazł się w takim ścisku, że przez tłum ten został porwany. Nagle ukazały się kompanie dragonów i muszketierów, torując sobie przejście przez fale ludzi. Były to forpocztys cesarskiego dworu, który właśnie miasto opuszczał. Towarzyszyła mu ogromna liczba lektyk, powozów i wozów ładowanych, otoczona znów zbrojnymi jeźdźcami na koniach i mułach. Pochód zamykał oddział grenadyerów, a za nimi ciągnęły gromady wychodźców, którzy również z obawy niebezpieczeństwa wraz z cesarzem miasto opuszczali. Kiedy pochód już zniknął i tłum ludu rozrzednął, oglądnał się teraz Konrad za schronieniem, gdzieby mógł zjeść kolację i znaleźć wygodniejszy nocleg. Odkrył wreszcie małą restaurację z domem zajezdnym pod „czarnym rumakiem“ i podczas gdy gruba gospodyni przyrzędziała mu łóżko w osobnym pokoju, on w sali gościnnej zaspokajał głód pożywną wieczerzą, przysłuchując się rozmowom obecnych gości, objawiających niezadowolenie swoje z odjazdu monarchy i przepowiadających skutki obłężenia.

„Wojna turecka jest srogim biczem bożym dla nas,“ mówił z nich jeden, piekarz Kipfl. „Pan nasz niebieski musiał na nas zesłać tę burzę, aby nas ukarać za nasze grzechy. Żebyśmy tylko przypadkiem nie umarli z tych lekarstw, które nas niby mają wyleczyć!“

W tejże chwili wszedł do sali jakiś mały, szczupły mężczyzna, z kosią bródką, a na twarzy jego malował się przestach i przerażenie.

„Bóg z wami! majstrze Zwirnmajerze,“ zawołał od stołu kowal. „Cóżto leży w żołądku? Wyglądacie tak, jakby dyabeł w was siedział“.

„Ochroń nas Boże od dzisiejszej nocy, ochroń nas Panie Boże!“ wykrztusił wysokim, cienkim głosem gość nowy, po którym łatwo było rozpoznać majstra krawieckiego. „Pierwsze poczty tureckie krążą już blisko w okolicy. Zapalili klasztor Karmelitów na Kahlenbergu, a ogień ten przyświeca naszemu cesarzowi w ucieczce do Lincu. A w mieście stoi tylko jeden regiment „Kaiserstein“ i gwardya obywatelska. Garsć Turków może nas pokonać! Mury nie wytrzymają ich nacisku! Palisady jeszcze nie skończone a w bastyonach brakuje nabojów i koszyków szanćowych. A do tego wszystkiego cesarz nas jeszcze opuścił. Jezus, Marya, Józef! co się z nami stanie?“

„Pozwólcie cesarzowi wraz z jego dworem odjechać,“ odparł spokojnie majster Blasberger, „my tu już sami głów naszych ustrzeżemy. Dzisiaj w nocy Turek jeszcze do miasta nie wejdzie, a jutro rano już z nami będzie lepiej, gdyż ma nadciągnąć z nową siłą niedawno przez cesarza mianowany komendant Wiednia, namiestnik Morawy, hrabia Rüdiger Starhemberg, który przed paru laty tak dzielnie obronił Morawę od Węgrów za Tökelyego. Ten już Turkom

podgrzeje! Ja pomówię także słówko z nowym komendantem, kiedy mi niebo zsyla tak dobrą sposobność. W kuźni mojej wisi stara zapomniana kosa. Nigdy na nią nie zważał; dzisiaj dopiero wpadła mi w oko i pomyślałem sobie, czyby nie było dobrze zrobić z niej jaką siarczystą broń na psa Turka. Sprostowałem ją więc jak się należy, wzmocniłem na grzbiecie, by się lepiej trzymała, wyostrzyłem jak brzytwę — ot i broń gotowa. A żebyście słyszeli jak gwiżdże w powietrzu, gdy się nią wywija! Mówię wam, że przetnie najgrubsze pancerze i będzie ścinać głowy tureckie jak makówki. Każdy chłopak 16-letni może posługiwać się taką kosą, bez poprzedniego przygotowania. Jak tylko hrabia Starhemberg załatwi się z najważniejszymi sprawami, przedstawię mu tę broń nową. Kilkaset takich kos na kwaśne jabłko pogniecie Turczyna!“

„To wcale broń nie nowa,“ odparł jeden z gości. jakiś pan poważny, wyglądający na uczonego. „Szkoci oddawna używali takich kos w bitwach i nazywali je „Lochaber axes.“

„Niech się zwą i ,cielejącymi toporami‘,“ odrzekł kował zgniewany. „U nas zwia je poprostu kosami; a jeżeli Szkoci wpierw na ten pomysł przyszli, tem lepiej dla nich. Naśladowałem ich, nie przeczę, ale nie ich ,lochaber axes‘. Przecież i Wiedeńczyk może wpaść na jaki dobry pomysł!“

Cechowi rozmawiali z sobą jeszcze długo o zdarzeniach dnia i z wyjątkiem Zwirnmajera wszyscy byli spokojni i dobrego umysłu. Wśród tego wołali naprzemian: „Niech żyje Wiedeń!“ — „Vivat Austria!“ i wesoło zadzwieczyły kieliszki, jakby Turek stał daleko jeszcze nad Cisą, a nie nad Litawą. Konrada krzykliwy ten hałas znużył cokol-

wiek, udał się więc do swej sypialni i zasnął twardo. Na drugi dzień rano zapłacił należytość i zajazd opuścił. Zaledwie znalazł się na ulicy, usłyszał wojenne głosy trąb i bębnow. „Idą, idą!” wołali ludzie, biegnąc ze wszystkich stron z wielkiem ożywieniem. „Wjeżdżają właśnie przez bramę Kraińską!” „Któż to?” „Czy nie Turcy?” pytali inni. „Nie, nie,” odpowiadano im hałaśliwie, „to czescy dragoni.” Wszystko rzuciło się w wskazanym kierunku, a i Konrad nie był ostatnim. W kilka minut przybył na ulicę Kraińską, gdzie polyskiwały już w słońcu hełmy i miecze jeźdźców cesarskich. Były to trupy armii księcia lotaryńskiego, któremu turecki wódz Kara Mustafa chciał odciąć wjazd do Wiednia.

Przy wiosce Petronell nad Dunajem przyszło do gorącej bitwy, lecz sąd ogólny, jakoby Austriacy ponieśli klęskę, wydawał się kłamliwym na widok olbrzymich dragonów z zielonymi pióropuszcami na hełmach i koni silnych nad wyraz. Istotnie pogłoska klęski była zupełnie nieprawdziwą. — Austriacy bowiem odnieśli zwycięstwo. Witano ich okrzykami radości, a odwaga Wiedeńczyków ożywiła się na nowo, chociaż wiedzieli dobrze, że to tylko mała garstka t. zw. forpoczty armii, która pod Wiedeń już ciągnęła. Z radośnie poruszonymi tłumami postępował i Konrad przez ulice miasta, przez Leopoldstadt aż na łękę Tabor, gdzie rozbito namioty i miano urządzić dla armii wielki obóz. Konrad omal nie oszalał z radości i niecierpliwości; zaledwie bowiem rozbito obóz, nadciągały ciągle nowe regimenta: walońscy kirasyerzy, konni strzelcy i żwawa grenadyerya. Dopiero wieczorem powrócił Konrad do miasta, spotykając co chwila nowe regimenta. Naraz rozszedł się błyskawicznie radosny okrzyk: „Komendant nadjeżdża! Hrabia Rüdiger Starhemberg!”

Konrad przedarł się przez tłumy, aby dostrzedz sławnego wojownika. Poza kilku kompaniami konnych strzelców widać było grupę wyższych oficerów. Jeden z nich był atletycznej, wysokiej postaci, o łagodnej, ale mężnej i stanowczej fizyognomii, z długim, na ramiona spadającym, czarnym włosiem. Było właśnie nowo mianowany komendant Wiednia, hrabia Starhemberg. Przy boku jego jechał hrabia-biskup Kolonicz, który zamienił swój strój duchowny na stalowy napierśnik, żelazny kołnier, naramienniki, metalowe spodnie i buty metalowe z ostrogami. Przy boku wisiał miecz olbrzymi. Po drugiej stronie jechał arcyksiążę Franciszek a za nimi generałowie z błyszczącym od złota swym sztabem. Towarzyszył im nieprzerwany okrzyk zgromadzonych tłumów i bicie dzwonów i huk dział stolicy. Starhemberg zajął kwaterę — i wszystko znowu ucichło. Konrad zatrzymał się w miejscu, gdzie biskup Kolonicz w skrzydle cesarskiego pałacu z wielu panami i duchownymi zajął swe stanowisko. Świta jego składała się z samych kawalerów maltańskich, a głównie z tych, którzy z nim razem walczyli, a teraz zajmowali godność bądź naczelników wojskowych szpitali, bądź dowództwo niektórych bastyonów, nazwania zakonu św. Jana. Biskup towarzyszył hrabiemu aż do pałacu, a kiedy zsiadł z konia, przystąpił szybko nasz Konrad i konia mu przytrzymał.

„Co to, młodzieńcze, jeszcze z Wiednia nie odjechałeś?“ zapytał biskup, spoglądając nań badawczo. „Myślałem, że już wywędrowałeś w głąb państwa!“

„Nie, najczcigodniejszy Panie!“ odrzekł Konrad. „Chcę pozostać tutaj, by udzielić mego ramienia ogólnej sprawie, choćby się i na nic nie miało przydać!“

„To pięknie od ciebie,“ odrzekł biskup, „teraz właśnie nadeszła chwila, że potrzeba nam wiele jasnych głów i dzielnych ramion. Bądź pewny, że zechcemy z poświęcenia twego skorzystać . . .“

IV.

Łagodnego lipcowego wieczoru siedziały w naróżnem oknie wysmukłego domu jakieś dwie kobiety, szyjąc pilnie przy świetle lampy bieliznę dla obrońców miasta. Starsza była właścicielką domu, panią Holten, z starego rodu hrabskiego, której mąż jako kapitan walońskich kirasyerów stał w armii księcia lotaryńskiego już na polu bitwy. Druga, szczególniejszej milej i przyciągającej fizyognomii, pączek rozkwitającej róży, owiana czarownym urokiem młodzieńczej świeżości i siły, była hrabianką Trauneck, wychowanicą biskupa Kolonicza. Opuściła ona, z przestachu przed Turkami, zameczek swój w okolicy Wiednia i przeniosła się za poleceniem biskupa Kolonicza do swej krewnej, pani von Holten, która ze zmarłymi obecnie rodzicami Franciszki Trauneck, niegdyś w serdecznej żyła przyjaźni.

„Tylko z wielką niechęcią i przymusem rozłączę się z tobą, kochana Franciszko!“ mówiła właśnie pani von Holten do pięknej dziewczicy, „ale przecież stanę oporem żądaniu najczcigodniejszego hrabiego biskupa, mego kuzyna, który chce, abyś natychmiast lub prawie jak natychmiast opuściła Wiedeń i złączyła się z cesarskim dworem!“

„Czyż już tak całkiem jestem tutaj niepożyteczna?“ spytała Franciszka i spojrzała smutno swemi brunatnymi oczami na macierzyńską swą przyjaciółkę. „Czyż nie mogę opiekować się rannymi, lub pamiętać o utrzymaniu i opiece wa-

lecnych obrońców, którzy życie swe poświęcają za sprawę ojczystą? Czyż wreszcie, gdy rzeczy wzięły najgorszy obrót, nie mogę umrzeć razem z innymi.“

„Nie umiera się tak łatwo, jak myślisz, tem bardziej w twoim wieku,“ odrzekła pani Holten, potrząsając głową. „A nawet śmierć nie jest jeszcze rzeczą najstraszniejszą; gorszem jest częstokroć to, co ją poprzedza. Gdybym miała dożyć tej chwili, żeby cię Turcy z przed oczu moich porwali, by cię zawlec gdzie do haremu sułtana lub jakiego baszy, — o, moje dziecię! serce moje ściska się na samą tę myśl straszną. Niewierni ci, nie umią niczego uszanować!“

„Najświętsza Panno!“ zawołała Franciszka blada z przerażenia. „Ale i ty, na podobne narażasz się niebezpieczeństwo, jeżeli tutaj zostaniesz!“

„Ze mną rzecz inna, drogie dziecię! — ja jestem starą i żoną żołnierza. Losem moim w najgorszym razie byłaby śmierć, a na mnie wiele nie zależy. Wierz mi tylko, że nie daremno radzę ci uciekać. Wszystkie przygotowania świadczą o blizkiej rozpaczliwej obronie — niebezpieczeństwo więc blizkie. Wojownicy dadzą się raczej pod gruzami miasta pogrzebać, aniżeli uwieźć!“

„A czy nie będzie już późno, gdy zechcę odejść?“ spytała hrabianka.

„Nie sądzę,“ odrzekła matrona, „najczcigodniejszy kuzyn biskup zaradzi już temu; jemu nie brak, choćby niebieskich środków!“

W tej chwili usłyszały tętent nagle zbliżającego się konia, który na dole przed ich domem się zatrzymał. Wkrótce potem oznajmiła służąca, że jakiś jeździec od biskupa chce z nimi mówić!“

„Każ mu wejść!“ rozkazała gospodyni — i zaraz potem wszedł do pokoju jeździec w stroju ry-

cerskim, skłoniwszy się damom w sposób nader dystygowany.

„Jesteś pan posłany od biskupa?“ zapytała matrona.

„Do usług, łaskawa pani!“ odrzekł Konrad, gdyż on to był tym posłańcem. „Jestem u najczcigodniejszego biskupa ordynansem i przyszedłem po bandażę, które łaskawa pani ma mi dać prawdopodobnie.“

„Zaraz pan je otrzymasz,“ odrzekła pani von Holten i poszła do szafy, gdzie miała pracę swą zamkniętą. „Usiądź pan sobie, dobry przyjacielu!“ dodała opuszczając pokój, „a ty Franciszko podaj panu wina i przekąskę!“

Młoda hrabianka natychmiast podbiegła do kredensu i podała Konradowi butelkę prawdziwego węgryna i rznięty kielich kryształowy, który sama uprzejmie napełniła.

„Na waszą pomyślność, szlachetna pani,“ rzekł Konrad grzecznie, podnosząc puhar do ust spragnionych.

Franciszka podziękowała serdecznie. „Czy pan już dawno pozostaje na dworze biskupa?“ zapytała.

„Nie, dopiero od kilku dni,“ odparł Konrad. „Ale służę mu ciałem i duszą i życie dam za niego, bo jemu zawdzięczam życie moje i wolność!“

„Szlachetny to mąż,“ dodała Franciszka, „oby mu Bóg czyny jego nagrodził.“

„Tak jest!“ odparł żywo Konrad, „a więc na cześć męznego i mądrego umysłu,“ dodał podnosząc nowy puhar, „floreat, crescat!“

„Aj, czyjeż zdrowie pijecie?“ ozwał się głos biskupa, który w tej chwili drzwi pokoju otworzył.

„Wasze, najczcigodniejszy Panie!“ odrzekł Konrad.

„Więc już zawiązaliście z sobą znajomość!“ rzekł uśmiechając się biskup, „no, tem lepiej, moja kochana wychowaneczko, gdyż dzielny ten młodzian jutro rano będzie ci towarzyszył w ucieczce do Lincu!“

„Niech będzie dokądkolwiek,“ przerwał Konrad żwawo, „szlachetna pani może na mnie liczyć, iż bronić i strzedz jej będę, dopóki ręka miecz dźwignąć potrafi!“

„Bardzo dobrze, kochany Konradzie,“ rzekł biskup, podczas gdy pani Holten powróciła z sąsiedniego pokoju. „A, moja samarytanka,“ zawołał powstając z krzesła i zbliżając się do matrony, „a moja samarytanka z całą paką bandażów! Jak widzę, panie bardzo byliście pilne! Bądźże więc tak dobry,“ rzekł zwracając się do Konrada, „weź ten dar samarytanki i odnieś do szpitala!...“

V.

W mgle porannej następnego dnia pędziło trzech jeźdźców na małych węgierskich koniach, przez te bagniste niziny, które rozciągają się za Taborem wzdłuż Dunaju. Pierwszy rycerz, wyprzedzający swych towarzyszy, był starszym już mężczyzną z ogorzałem obliczem i gęstą brodą. Ponad siodłem konia trzymał długą, naprzód wysuniętą lancę.

Za nim podążał jakiś młody, niebieskooki młodzieniec w chłopskiej odzieży, uzbrojony w jatagan i dwa pistolety. Przy boku jego jechał żwawy, śliczny młodzieniaszek, o cerze śniadej, cygańskiej, o szerokim słowackim kapeluszu, w szerokich białych, płóciennych spodniach węgierskich i w skórzanych kamaszach. Przez plecy zwisał płaszcz ze skóry

owczej, z pod którego obszernych rękawów wyglądały dwie maluchne rączki, trzymające lejce. Widocznie nie czuł się tą jazdą zadowolonym, gdyż trwożnie rozglądał się często dokoła, jakby się lękał jakiego Turka lub Węgra, któryby mógł gdzie z gąszczy się ukazać.

„Nie lękajcie się niczego, łaskawa hrabianko,“ pocieszał Konrad tego młodzieniaszka, „tu jesteśmy zupełnie bezpieczni. Tam oto na prawo jest dolina Morawy, na której leży obóz księcia lotaryńskiego; z tej strony więc nie mamy się czego obawiać, gdyż straże nieprzyjacielskie obawiałyby się aż tak głęboko w kraj się zagłębiać. Tylko z lewej strony, stamtąd mogłoby nam grozić niebezpieczeństwo, jeżeli istotnie tak jest, jak nam powiadał flisak, który nas przewoził przez Dunaj, że Turcy już są w Korneuburgu. Uważam to jednak za bajkę, gdyż w czasie wojny ludzie widzą wiele niewidzialnych straszyleł. Stary Józef, ten na przedzie, który nas prowadzi, jako cesarski posłaniec, zna wszystkie drogi i ścieżki, omija wszystkie gościńce i wioski i pewnie bezpiecznie zawiedzie nas do Wolkersdorfu!“

„Nad wszystko pokładam tylko w was największe zaufanie, panie Konradzie,“ rzekł z przyjaźnem uśmiechem słowacki chłopiec, pod którego brunatnem pomalowaniem i ordynarną odzieżą nikt inny tylko hrabianka Franciszka von Trauneck się ukrywała. „Opiekun mój, najczcigodniejszy biskup, nie byłby mię straży pańskiej oddawał, gdyby nie uważał go za jedynego człowieka, któremuby mię mógł bezpiecznie powierzyć!“

Jeźdźcy pędzili naprzód, podczas czego Franciszka często badawczym wzrokiem pokryjomu spoglądała na Konrada, gdyż cała jego postawa, ułożenie pańskie i delikatna mowa stawiała go wyżej nad

zwykłego żołnierza, co też dużo dawało hrabiance do namysłu i domysłu. Słońce wznosiło się wyżej, a stary Józef zwrócił się na lewo ku podnoszącym się w oddali pagórkom. Koło południa dosięgli jeźdźcy lesistego wzgórza i wjechali za przewodnikiem w tajną małą rozpadlinę, gdzie w cieniu buków wytryskało czyste źródółko. Ponieważ tutaj miał odbyć się południowy popas, Konrad pomógł hrabiance zejść z konia i sporządził jej łożę z gałęzi, aby mogła na niem wypocząć po trudach całego przedpołudnia.

Pokrzepiwszy się wpierw zabranym prowiantem, położył się stary strzelec na poduszkach z mchu zielonego i wpadł w sen żelazny. I hrabianka zdawała się także na łożu, na którym Konrad płaszczył swój rozpostarty, zasypiać, czemu się Konrad zrazu z dała od koni przyglądał, poczem obchodził gaj w koło, chcąc się przekonać, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Powróciwszy położył się także, ale zasnąć nie mógł. Myśli jego zajęte były piękną hrabianką, nad którą dano mu tę błogosławioną opiekę.

Wkońcu był już czas znowu wyruszyć: stary Józef i hrabianka podnieśli się z ziemi, a Konrad poszedł konie osiodłać. Przyprowadził je i chciał już podsadzić hrabiankę, gdy nagle zatrzymał się nad słuchując uważnie z palcem na ustach.

„Czy nic nie słyszycie, Józefie?“ zapytał stłumionym głosem. „Tam . . . na skraju lasu . . . coś dźwięczy zdradliwie! . . .“

Istotnie dał się słyszeć tętent licznych koni, jakby zbliżał się oddział wojska.

„Hm!“ odrzekł stary, również nad słuchując, „będzie tego kilka tuzinów Jeżeli mię słuch nie myli, to Turcy, albo Węgrzy, bo konie nie podkute! . . .“

Zatrzymawszy oddech słuchali wszyscy z naprężoną uwagą. Teraz do tętentu koni przymieszała się wrzawa głosów ludzkich. Wreszcie wszystko poczęło cichnąć, oddalając się gdzieś w stronę miasta. Kiedy już nawet cichy odgłos nie dochodził uszu, nasi jeźdźcy dosiedli koni i ruszyli z lasu. Nad samym jego brzegiem zatrzymali się dla ostrożności, a Konrad zsiadłszy z konia, wyrzwał na równinę. W oddali spostrzegł istotnie dwa hufce żołnierzy, a białe turbany na głowach wskazywały Turków.

„Musimy stąd umknąć jak najprędzej,“ zawołał powracając do towarzyszy. „Tam w dole są już nieprzyjaciele, a w kierunku Korneuburgu palą się włości. Turcy widocznie przeszli Dunaj powyżej miasta!“

„W takim razie napewne pociągną do Wolkersdorfu,“ zauważył Józef, „nie możemy więc trzymać się tej drogi, jaką nam najczcigodniejszy biskup wyznaczył. Trzeba natychmiast ku lasom Mannhartsbergu!“

Konrad jednak właśnie uważał te lasy za niebezpieczne schronisko. Nie chciał nawet słyszeć o wniosku strzelca, ale postanowił trzymać się ściśle wskazówki biskupa. Stary strzelec obstawał ciągle przy swoim zamiarze, by jak najspieszniej ukryć się w lasach, które rozciągały się na długim paśmie wzgórzy daleko ku północy. Chcąc nie chcąc, tak Konrad jak i hrabianka musieli iść za przewodnikiem i kiedy już słońce zachodziło w czerwonej purpurze, dosięgli najgłębszego pagórka. W nizinie opodal widno było wsi i rozrzucone wśród zieleni murowane domki, ale wszystko puste i ciche, gdyż mieszkańcy ich w obawie przed Turkami, albo schronili się w obwarowanych miastach, albo przeszli na stronę Morawy. Konie naszych jeźdźców zaledwie wlokły

się dalej, tak zmęczone były wspinaniem się i zjeżdżaniem z wysokich wzgórz. Konrad kłął na strzelca, że ich zabląkał, gdyż dawno powinni by być już w Wolkersdorfie. Z południa nadchodziła burza, nie można więc było w żaden sposób pozostawać w lesie, ale coprędzej szukać w najbliższej wiosce schronienia. Zaledwie wjechali na dolinę, gdy wśród grzmotu piorunów i olśniewających błyskawic lunął deszcz jak z cebra. Na szczęście zdołali dopędzić na czas do jakiejś słomą krytej chałupy, całkiem pustej i opuszczonej przez mieszkańców. Konrad i strzelec ulokowali się w kuchni, hrabianka zaś w izbie sąsiedniej, gdzie stało łóżko. Konrad nasłał go świeżem sianem z komory i nakrył swym płaszczem. Zjadłszy wieczerzę z resztek pożywienia, udali się na spoczynek. Następnego poranku, jeszcze przed wschodem słońca, puszczono się w drogę. Ponieważ znacznie oddalili się od Wolkersdorfu, postanowili przeto dotrzeć choć do Mistelbachu; tam spodziewano się znaleźć chłopów, którzyby ich do Znaimu, miasta w Morawie, zawiedli.

Jechali więc dalej w stronie północnej przez pola i łąki. Podróż ta trwała już kilka godzin. Właśnie wjeżdżali na wzgórze, gdy na grzbiecie jego z drugiej strony spostrzegli hufiec turecki wracający z łupieżczej wyprawy. W jednej chwili z jaki tuzin Turków otoczył naszych trzech jeźdźców. Ci zwrócili natychmiast swe konie i rzucili się do ucieczki.

„Allah il Allah!“ zawyła dzicz rozwścieczona, sypnęły się z pogwizdem strzały i włócznie, a straszne psy, które Turcy z sobą brali do bitwy, ciągle napastowały ich konie.

„Józefie! do najbliższego lasu!“ zawołał Konrad, „ja będę się starał zakryć was sobą. Położył się

prawie na konia, by go żadna strzała nie tknęła, jedną nogą zawisł na siodle, jedną trzymał w strzemionach i jataganem bronił się od psów kurdyjskich. Potężnem cięciem zmiotł jednemu z nich głowę, to samo spotkało wkrótce drugiego i trzeciego, ale zanim lasu dosięgli, udało się przecież jednej bestyi doścignąć starego strzelca, który cokolwiek w tyle za hrabianką pozostał. Józef strzelił do zwierzęcia, ale chybił. Pies rzucił się na konia, który począł stawiać dęba i obracać się w koło na jednym miejscu. Wszelkie usiłowania strzelca, chcącego konia zmusić do ucieczki, były bezowocne. Aby nie pozostawić hrabianki w lesie bez opieki, Konrad nie mógł zatrzymywać się przy swym towarzyszu. Przeleciał koło Józefa, obrócił się i strzelił z pistoletu do kurdyjskiego jeźdźcy, który już najbardziej zbliżał się do strzelca. Ale tylko koń napastnika został trafiony i padł na ziemię. Kurd błyskawicznie podniósł się z ziemi, napiął łuk i taki sam cios wymierzył koniowi Józefa, który również runął zabity, zrzucając z siebie starego strzelca. Konrad usłyszał za sobą tryumfujący okrzyk turecki i wystrzały z pistoletów. Obejrzał się za siebie i spostrzegł całą gromadę kurdyjskich jeźdźców, którzy z okrzykami radości zatykali już na spisie odciętą głowę pocziwego przewodnika. Prawie w tej samej chwili uczuł się Konrad zrzuconym z siodła i upadł na ziemię. Koń jego wpadł w jamę zarośniętą gęsto borówkami i nie mógł się już podnieść ze ziemi. Jak się zdawało, połamał obie przednie nogi. Konrad nie mógł ani chwili czekać, tembardziej że Kurdowie już byli tuż za nim. Jak tylko mógł najspieszniej wpadł w gąszcz za hrabianką i zniknął z przed oczu napastników. Przebrnął szeroki strumień i słyszał, jak Kurdowie, objeżdżając tam i napowrót, szukali go w zaroślach

pobrzeżnych, podczas gdy on ukryty był w gąszczu przeciwnego brzegu. Na potężnym kamiennym pagórku wznosił się olbrzymi klon. Konrad wdrapał się nań a gęsta jego korona udzieliła mu schronienia. Stąd widział, jak Kurdzi, przeszukawszy każdy zakątek, zdawali się nazad powracać. Lękał się jednak podstępu i nie schodził z drzewa. Siedząc tak spokojnie, myślał o hrabiance i biednym strzelcu, który za nietrzymanie się ściśle rozkazu biskupa, tak strasznie odpokutował. Tak upłynęła godzina! Konrad zszedł z drzewa, nabił swe pistolety i zniknął w gąszczu, szukając pilnie śladu hrabianki.

Ale napotkał tyle śladów końskich, że nic nie mógł stanowczego obmyśleć. Na los szczęścia więc rzucił się w lasy. Ustawicznie wywoływał głośno nazwisko hrabianki, ale nikt mu nie odpowiadał. Może ze dwie godziny, jak przynajmniej wskazywało słońce, szedł w stronę północną, gdy wreszcie droga zsunęła się ku leśnej dolinie. Przepływała ją mała rzeczka i właśnie gdy Konrad szukał płytszego miejsca, żeby ją wplaw przebyć, usłyszał w pobliżu powolne kroki i parskanie konia. Szelest ten wychodził z zarośli. W obawie, aby to nie był jaki nieprzyjaciół, Konrad przykucnął i odkręcił kurek, aby w razie potrzeby natychmiast wystrzelić.

Uchyliwszy jednak ostrożnie zarośli, spostrzegł konia hrabianki, który pasł się najspokojniej. Hrabianki samej wszakże ani śladu. Ujawszy konia za uzdę, pooglądawszy się pilnie dokoła i po kilkadziesiąt razy bezowocnie wywoławszy imię biednego dziewczęcia, namyslał się teraz, co począć. Myśl że piękna Franciszka mogła wpaść w ręce Kurdów, była dlań straszną; raz dlatego, że biskup oddał mu ją w opiekę, powtóre, że on sam czuł dla niej coś więcej nad prosty szacunek. Koń kulał cokolwiek,

jakby upadł na kolana. Konrad przywiązał go do drzewa i podszedł ku rzeczce, szukając bacznie jakich śladów. Tak doszedł do jakiegoś odosobnionego gąszcza, ale zaledwie rozpostarł jego gałęzie, gdy okrzyk przerażenia wydarł mu się z piersi. Franciszka leżała na ziemi bezduszna i bez kapelusza, a z czoła spływała krew na blade jej oblicze. Leżała jak martwa i nie słyszała jego wołania. Konrad ujął ją gwałtownie za rękę. Dzięki Bogu! była jeszcze ciepła i puls bił jeszcze wyraźnie. „Żyje, żyje!“ — zawołał do siebie Konrad, podniósł ją z ziemi i zaniósł ku rzece, zimną wodą twarz całą i głowę zmywając. Na czole jej ukazała się szeroka szrama, tożsamo na kapeluszu, jakby podczas ucieczki zadarła się gdzieś o gałęzie drzewa, co też było istotnie.

Po dłuższem oblewaniu zimną wodą, hrabianka otworzyła oczy. „Bogu dzięki,“ zawołał Konrad, „że pani żyjesz przecie!“ — i z uniesieniem przycisnął jej białą rączkę do swych ust gorących. „Czy jesteś pani jeszcze gdzie zranioną?“ pytał kilkakrotnie, ale hrabianka nie umiała mu na to odpowiedzieć, bo cały ten wypadek ją unieprzytomnił. Konrad wszakże był pewny, że tylko na czole odniosła jedyną ranę.

„A gdzie Józef?“ spytała Franciszka.

„Niech go Bóg przyjmie do swej łaski i da mu błogosławione zmartwychpowstanie!“ odrzekł Konrad, opowiedziawszy wszystko hrabiance.

„Nie martwcie się tem, kochana hrabianko!“ pocieszał Konrad. „Stał się ofiarą z własnej przyczyny. Gdyby był szedł za wskazówką biskupa, byłby teraz miał głowę na karku, a my więcej bezpieczni. Chwała jednak Bogu, że większego jeszcze nie było nieszczęścia!“

Kiedy hrabianka, dzięki Konradowi, podniosła się z ziemi, zaraz dosiadła konia, a Konrad szedł przy niej. W ten sposób doszli do końca lasu i natrafili na gościniec, na którym znać było ślady podków i kół. Wkrótce usłyszeli jakiś odgłos daleki. Jeszcze nie było widać, bo droga zasłonięta była lasem. Naraz podniósł się tuman kurzu. Konrad pociągnął natychmiast konia hrabianki i ukryli się w gąszczu, ale widocznie zostali dostrzeżeni, gdyż dwóch jeźdźców zbliżyło się ku zarosłom. Konrad zasłonił sobą hrabiankę, ujął konia króciutko i odciągnął kurek u pistoletu. Naraz opuścił broń i wyszedł z krzaków. W jeźdźcach poznał po uniformie konnych strzelców cesarskiego regimentu.

„Kto taki?“ zapytali jeźdźcy.

„Dobrzy przyjaciele! Austrya nadewszystko!“ odparł Konrad. W tej chwili nadjechała ciężka, kryta wojskowa bryka, w której wieziono prowiant. Za nią ciężki, również kryty powóz. W podróżnych ją zajmujących, dostrzegła i poznała Franciszka z wielką radością znane sobie osobistości, a mianowicie jekiegoś tajnego radcę cesarskiego, który właśnie jechał do obozu cesarza i zaprosił do siebie Franciszkę. Podróż odbyła się dalej spokojnie i koło wieczora osiągnięto miasta, gdzie już byli przed Turkami bezpieczni. Następnego dnia wychodził z miasta nazad oddział tych samych strzelców, którzy radcy towarzyszyli. Konrad rozstał się z hrabianką, która ze łzami w oczach, silnem uściśnieniem dłoni, podziękowała mu serdecznie za opiekę, a poznać było, że tylko z niechęcią przyszło jej się z nim rozstawać. Potem dosiadł Konrad konia hrabianki i dostał się bezpiecznie wraz z strzelcami do Wiednia.

VI.

Hrabia Starhemberg, nowy komendant Wiednia, z nadzwyczajną szybkością przystąpił do fortyfikacyi stolicy. W przeciągu ośmiu dni wzniosło się kilka wałów i nie mniej jak 200 armat z paszczą rozwartą oczekiwało nieprzyjaciela. Wszyscy rzemieślnicy w mieście się znajdujący pracowali około okopów, a nawet obywatele utworzyli osobne kompanie, które czynnie dopomagały robocie. Do obrony zaś zgłosili się wszyscy cesarscy słudzy, sklepowi subjekci i studenci, z których ostatni 700 młodych sił dostarczyli. Książę Karol Lotaryński dał miastu z swej armii 14.000 ludzi, tak, że cała załoga Wiednia liczyła 20.000 ludzi. Obywatele złożyli prócz tego hufiec sześćtysięczny, bardzo powątpiewającego znaczenia. Wszyscy widzieli, że to jest niczem przeciw takiej potędze, że tylko jakiś czas potrafią się odbijać, ale szturm nie zniosą i padną, jeżeli nie przyjdzie im jedyna rozstrzygająca i najważniejsza siła, król polski Sobieski z swą sławną z waleczności armią, a zwłaszcza z głośną na całą Europę husaryą skrzydlatą. Toteż codziennie tłumy zalegały kościoły, prosząc Boga o Sobieskiego, jak o łaskę niebieską.

Z początkiem lipca poczęto palić przedmieścia, podczas czego setki domów, pałaców i kościołów wspaniałych rozpadło się w kupę gruzu i popiołu. Znikła wszelka oznaka radości, nawet dzwony wszystkie zamilkły, z wyjątkiem wielkiego dzwonu z wieży św. Szczepana, który codziennie zwoływał obrońców na stanowiska.

Rano dnia następnego, tj. 14. lipca ukazała się na wzgórzach Góry Wiedeńskiej główna siła turecka. Z przestrachem przyglądali się Wiedeńczycy,

jak na równinach i wzgórzach, dokoła Wiednia, powstało okiem nieprzejrzane miasto namiotów, bogatsze, większe, ludniejsze niż Wiedeń. Czego Europa, czego Azja dostarczyć mogły, wszystko to zgromadzone było w obozie wezyra Kara Mustafy i zdumieni mieszkańcy Wiednia z podziwem przyglądali się tysiącom kopuł, chorągwi, buńczuków, zatkniętych w tureckim obozie. Wielki wezyr rozbił swe namioty naprzeciw parku pałacu cesarskiego, a było to prawdziwe miasto z jedwabiu i złota. Przyboczny orszak jego stanowili: Selim Gieraj, najslawniejszy z chanów tatarskich, Apafi, książę siedmiogrodzki, Hospodar wołoski, Sirwan Kantakuzeno, Emeryk Tökely, nowo ogłoszony król węgierski, Dukas, książę multanski i wielu sławnych w boju osiwiiałych baszów.

Pyszny Kara Mustafa przywiódł z sobą cały seraj, 150 paziów czekało jego skinienia. Wnętrza jego pałaców obite były złotogłowie i aksamitem, całe ubranie jego błyszczało od złota i drogich kamieni. Pan samowładny życia i śmierci tylu tysięcy niewolników, kazał na miejscu wyniosłem wystawić namiot, w którym wykonywano wyroki śmierci. Ślepo musiały słuchać jego rozkazów te tłumy. A miał komu rozkazywać, bo wliczając niewolników, rzemieślników, kupców, muzykantów i kobiety, w obozie tureckim zgromadziło się więcej niż 700.000 ludzi, a z tych około 300.000 zdatnych do boju żołnierzy. W nocy, gdy rozpalono ogniska obozowe, to aż niebo oblewało się czerwoną luną, a huk dniem i nocą ogniem ziejących dział, wrzawa tylu tysięcy ludzi, ryk bydła, sprawiały taki hałas, iż wprawiał w drżenie mieszkańców stolicy. Dokoła namiotu wielkiego wezyra, na wzgórzu za przedmieściem św. Ulryka, z prawie nie do wiary podobną szybkością, założono wspaniałe ogrody z wodotryskami,

łazienkami i menażeryą najrzadszych zwierząt, w pysznych złożonych klatkach. Namiot Mustafy ukrywał także skarb nadzwyczaj kosztowny, relikwię turecką: chorągiew Proroka, którą sułtan oddał swemu zastępcy w Adryanopolu. Kara Mustafa lubiany był dla swego wojennego ducha, ale z drugiej strony szpeciła go niepomierna duma, chytrość i łakomstwo. W cichości postanowił sobie, całą spodziewaną bogatą zdobycz dla siebie zagarnąć. Bo że Wiedeń zdobędzie, o tem ani nie wątpił. Po ukończeniu tego zadania, z całą armią miał wtargnąć do Niemiec, „konie jego armii“, jak się sam z dumą wyrażał, „miały kapać się w Renie!“ W nagrodę za zwycięstwo spodziewał się, dostać od sułtana koronę Węgier. Wiedeń postanowił zdobyć szturmem, minami, i miał do tego bardzo wprawną inżynieryę. Przytem próbował oszukać obleżonych; baterye swoje zwrócił w stronę bastyonu krańskiego, a tymczasem miny kazał kopać w zupełnie innym kierunku. Ale Wiedeńczycy spostrzegli podstęp i także z swej strony pracowali nad minami przeciwnymi. Właściciele domów zostali zmuszeni do stawiania straży w piwnicach swych kamienic.

Z tem wszystkiem, Wiedeń nie był należycie przygotowany do wytrzymania obleżenia, gdyż nikt nie wierzył w tak rychły pochód Turków. I rzeczywiście! było to w dziejach wojennych niesłychanym dotąd krokiem: zostawić za sobą niezdobyte twierdze, a minawszy je, kroczyć wprost na stolicę. Kara Mustafa zaś, zaufany w swą potęgę i pewny zwycięstwa odważył się na ten krok i zostawiwszy za sobą twierdze: Preszburg i Jaworzyn (Raab), jak powódź niczem nie wstrzymana, wkroczył z swoją armią z Węgier do Austrii i zalał swem wojskiem cały kraj od Preszburga aż po Kahlenberg pod

Wiedniem, od Dunaju po Alpy południowo-zachodnie.

Sobieski, który miał swoich szpiegów w Turcyi, zawczasu ostrzegał cesarza, że gotująca się wyprawa wyruszy wprost na Wiedeń, że należy przeto wcześniej urządzić możliwą obronę; ale na cesarskim dworze nie wierzono tym przestrogom. Dopiero gdy przednie straże tureckie stanęły na ziemi austriackiej, gdy łuna pożarów oświeciła horyzont, przekonano się o prawdziwości przestroóg otrzymanych i poczęto się krzątać koło ubezpieczenia Wiednia. Książę lotaryński, który dla powstrzymania hord najezdniczych wyruszył był do Węgier, znalazłszy się wobec dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, musiał się cofnąć. W odwrocie zaprzeczał Turkom po bohatersku każdej piędzi ziemi i jak już wspomnieliśmy, stoczył krwawą bitwę pod Petronelem. Dwór cesarski uciekał do Passawy. Były chwile, w których cesarz i cesarzowa pod gołym niebem na garści słomy musieli noc przepędzać. Na moście pod Krems, margrabia de Seppville, ambasador francuski, odparł z swoim orszakiem nacierających Turków i uratował rodzinę cesarską od dostania się w niewolę. Dopiero na granicach swych krajów dziedzicznych w Passawie zatrzymał się cesarz z swą rodziną i odetchnął swobodniej.

Turcy tymczasem zamykali Wiedeń dookoła. Wiedeń leży na prawym brzegu Dunaju i składał się podówczas z właściwego miasta, otoczonego murem, fosami i wałami i z pięknych przedmieść, z których najwspanialszem i najważniejszem było Leopoldstadt, zbudowane na wyspie i oblane ramionami Dunaju. Sobieski dawno doradzał zburzenie przedmieść, aby Turkom przystęp do miasta utrudnić, lecz rady jego nie słuchano, a teraz — było już

zapóźno. Książę lotaryński i hrabia Starhemberg wprawdzie z nadzwyczajną energią, jak mówiliśmy, w przeciągu kilku dni starał się miasto postawić w obronnym stanie, burzono i palono pałace i domy przedmieść, lecz Turcy postępowali szybciej niż powódź. Na ruinach domów, wśród ogrodów znaleźli jeszcze dosyć miejsc dogodnych do ustawienia swych bateryi i usypania szanców na parę set kroków od murów miasta.

Jakie Wiedeń miał siły, wiemy dobrze. Z nimi nie mógł nic więcej uczynić, jak odbijać przynajmniej pociski rzucane na miasto i naprawiać szkody, wyrządzane kulami armat tureckich. Jedyne zbawieniem miała być odsiecz króla polskiego Jana III. Sobieskiego. W Wiedniu tymczasem obok nieustraszonego i znakomitego generała artyleryi, komendanta hr. Starhemberga, zebrało się wielu szlachetnych, mężnych i pełnych poświęcenia ludzi, którzy z nieustraszoną odwagą i poświęceniem bez granic, starali się bronić miasta, póki odsiecz nie nadejdzie. Na szczególną wzmiankę zasługuje to, że biskup neusztadzki, hr. de Kolonicz, niezmuszony, dobrowolnie zamknął się w obleżonem mieście i wyliczył Starhembergowi na potrzeby obleżnicze 300.000 talarów, na co swe srebro stołowe sprzedał. Książę Lotaryngii zajął Leopoldstadt, chcąc utrzymać związek z miastem z lewym brzegiem Dunaju, aby w ostatecznym razie umożliwić mieszkańcom opuszczenie miasta i schronienia się w stronę Czech i Morawy. Lecz Kara Mustafa na dniu 15. lipca przeprawiwszy jazdę przez kanał Dunaju, oblewający Leopoldstadt, zmusił księcia lotaryńskiego do ustąpienia na lewy brzeg Dunaju, a tak Wiedeń został ze wszech stron zamknięty. Przestrach ogarnął całą Europę. Drżały Niemcy, papież Inocenty XI. w trwodze o los chrze-

ścijaństwa wzywał króla francuskiego, Ludwika XIV., ku obronie zagrożonej wiary, ale nadaremnie. Ludwik niepomny na niebezpieczeństwo chrześcijaństwa, a pragnący tylko zadowolić swą dumę i chęć zdobyczy, oraz zniweczyć potęgę domu cesarskiego, popchnął swe wojska nad Ren. Cesarz musiał rozdzielić swe siły i część ich wysłać przeciw Ludwikowi, 6000 zwyciężnych Węgrów przeszło na stronę Tökelyego, posiłki książąt Rzeszy niemieckiej nie przybyły jeszcze, cesarz więc mógł tej strasznej potędze przeciwstawić zaledwie 30.000 wojska. Jedynie tylko z Polski wyglądano i spodziewano się pomocy. I papież i cesarz i książęta Rzeszy niemieckiej ślali posłów za posłami, zaklinając Jana Sobieskiego, by spieszył co rychlej na pomoc zagrożonej stolicy i chrześcijaństwa. List cesarza pisany do Sobieskiego z Passawy, przytaczamy w całości:

„Leopold, z Bożej łaski wybrany cesarzem Rzymian itd. do Króla Polskiego, wielkiego księcia litewskiego itd.

Wasza Arcy Serenitas, wielce potężny książę, bardzo drogi nasz Bracie i Sąsiedzie!

Z niewypowiedzianą radością odebraliśmy listy Waszej Serenitas z dnia 17. Julii w nieszczęściu, w jakie nas pogrążyły perfidya Węgrów i spustoszenia, jakich się w Austrii dopuszcza okrucieństwo Turków.

Z listów tych dowiedzieliśmy się z największą pociechą, że Wasza Serenitas dąży przyspieszonymi marszami na odsiecz Wiednia, który jest szczerze obleżony, i że Wasza Serenitas zaniechała wskutek tego wszelkich innych planów wojennych, gromadząc Swoje wojska ze zdumiewającą skwapliwością, aby miasto wyrwać z rąk, a raczej z paszczy nieprzyjaciół.

Rozkazaliśmy też naszemu wiernemu a ukochanemu baronowi Janowi de Zirow Zierowskiemu, naszemu doradcy i posłowi nadzwyczajnemu, aby oświadczył Waszej Serenitatis, z jaką wdzięcznością uznajemy tę gotowość podziwu godną, którą głównie jest korzyścią całego chrześcijaństwa i którą zawdzięczamy mniej warunkom przymierza między nami zawartego, jak raczej życzliwości szczególnej Waszej Serenitatis dla nas i naszych spraw.

Tenże sam poseł ma rozkaz wyjaśnienia wszystkiego tego, co uznaliśmy za konieczną w obecnych sprawach wojennych, a zwłaszcza co do odsieczy Wiednia; i przedstawi to świetnej przezorności i doświadczeniu wojennemu Waszej Serenitatis. Dlatego upraszamy Was, w zaufaniu prawdziwie braterskiem, abyście wysłuchali i dawali wiarę zupełną temu, co rzeczony nadzwyczajny poseł w naszym imieniu Wam powie; i zaklinamy, abyście dalej postępowali tym świetnym torem z temże uniesieniem, jak rozpoczęliście, a które to postępowanie zgotuje Wam chwałę nieśmiertelną, a oswobodzenie Wiednia będzie Wam w potomności nieśmiertelnym pomnikiem; a co przywiąże coraz bardziej naszą życzliwość ku królewskiej Waszej rodzinie.

Na koniec prosimy Pana Boga, aby raczył zlewać na Was wszelkie pomyślności.

Dan w Passau dnia 3. Augusta 1683 roku, panowania naszego w cesarstwie 26, na Węgrzech 29, a w Czechach 27.

Waszej Serenitatis dobry brat i sąsiad

Leopold.“

Z listem tym wysłał cesarz jeszcze drugiego posła, hrabiego Wilczka, który z posłem papieskim

Pallavicini stanął przed królem, gdy tenże w wiosce Wilanowie pod Warszawą szedł na Mszę św. Wtedy poseł cesarski uklęknął przed Janem III. i zawołał: „Królu, ratuj Wiedeń!” a poseł papieski dodał: „I chrześcijaństwo!”

Król Jan III. dowiedziawszy się, w jak wielkiem niebezpieczeństwie zostaje stolica cesarska, udał się nasamprzód w pobożnej pielgrzymce do Częstochowy i Studzianny, aby siebie i wojsko swoje polecić opiece Najwyższego i błagać go o udzielenie pomocy. Dnia 23. lipca położył król pierwszy kamień kościoła dla Kapucynów, pod nazwą: „Chrystusa zwycięzcy.“ Do wielu miejsc głośnych szczególnymi łaskami Boga, posyłał dary, n. p. do Szamotuł, niedaleko Poznania, gdzie się znajduje cudowny obraz Matki Boskiej, przesłał tak wielką lampę, że ją z trudnością mógł dźwignąć dorosły człowiek.

W lipcu udał się król do Krakowa, gdzie się zbierało wojsko polskie. Tu obszedł pobożny monarcha w uroczystej procesyi wszystkie kościoły, aby błagać Boga o błogosławieństwo dla oręża polskiego. Dnia 15. sierpnia nakoniec wyruszył Jan III. z Krakowa, aby przez Śląsk i Morawę dążyć pod Wiedeń.

Przechodząc przez Bytom, zboczył król umyślnie do Piekar, aby się pomodlić przed cudownym obrazem N. Maryi Panny. Dnia 22. sierpnia stanął Sobieski w Gliwicach, gdzie ochrzczono dwóch Mahometan z jego orszaku. Na tę pamiątkę kazał król zasadzić dwie lipy, które dotąd istnieją w Gliwicach, zwane „lipami Sobieskiego“.

* * *

Podczas tego obywatelstwo Wiednia dzień dziennie ćwiczyło się na placach swego zagrożonego grodu.

„Raz, dwa — raz, dwa — w prawo, w lewo — naprzód — marsz!” grzmiał silny głos pana Schwammelbachera, który był płatnerzem, a teraz wziął na siebie ciężki obowiązek dowodzenia piekarzami. „Sakramenckie ciury!” wołał w największej pasyi, „uważajcież przecie! Czy nie możecie kolan wyprostować, wy małpy jakieś! Kompania — stój! Zmień front!”

„O sakra, ale to dopieka!” wzdychał gruby majster Kipfl, postawił karabin na ziemi i chustką skroń spoconą ocierał. „Panie Schwammelbacher!” odezwał się do dowódcy, „czy to koniecznie potrzeba maszerować i obracać się podług taktu? Ja myślę, że gdy przyjdzie do ataku, wszystko będzie jedno, czy prawą czy lewą nogą wpadnę na Turczyzna!”

„Tłumacz pan sobie, jak się panu podoba,” odrzekł Schwammelbacher. „Przy mieszaniu ciasta istotnie nie potrzeba taktu, ale przy robieniu bronią rzecz inna! Tu liczyć już trzeba koniecznie.”

„O przekłety upał i piekielne pragnienie!” wzdychał piekarz dalej po swojemu. „He! Sepperl!” zawołał na swego pomocnika piekarskiego, który opodal przypatrywał się swemu panu i na widok jego niezgrabnych poruszeń aż boki zrywał ze śmiechu, „he! Sepperl, ty dyabli synu, podaj mi zaraz flaszkę polową!” Uczeń piekarski obrócił się natychmiast w stronę wielkiego plecnego kosza, wyjął z niego ogromną flaszkę i podał ją swemu majstrowi. Pan Kipfl pociągnął z niej potężnego hausta i podał dalej flaszkę towarzyszom. Nawet dowódca nie pogardził napojem.

„Patrzcie, oto spragnione beczki piekarskie!” odezwał się jakiś głos z oddziału studentów, który właśnie w szybkim marszu nadchodził. Wielu z nich miało na twarzach plastry i blizny z bitw już prze-

byłych. Wszyscy wszakże byli weseli i na widok pułku piekarzy w głos się roześmiali.

„Co wam przyjdzie z tego, że tu będziecie się przekręcać na pięcie, kiedy Turcy atakują bastyon zamkowy“, zawołał z nich jeden. „Idźcie tam lepiej i zastąpcie swymi beczkowatymi brzuchami kosze szanćcowe!“

Kilku z piekarzy obraziło się tym żartem, ale majster Kipfl odrzekł flegmatycznie: „Pozwólcie im żartować! Dzielne to chłopaki i już od trzech dni przeszło nie zrzucili z siebie broni! Hola, panie studencie!“ zawołał do szydzącego, „pozwól trochę z mej flaszki!“

„Bóg wam zapłać“, odrzekł zaproszony i flaszkę do gardła wychylił. „Ale jest tu między nami jeden, który najgodniejszy jest pokrzepienia, nasz strzelec, który od trzech dni oczu jeszcze nie zmrużył!“

„Jużem was widział pod ‘czarnym koniem‘“, zwrócił się Kipfl do naszego Konrada i podał mu flaszkę. „Ale co to, macie plaster na głowie i bandaż na ramieniu!“

„Bandaż noszę dopiero od przedwczoraj; strzała turecka zraniła mi ramię, na szczęście przynajmniej lewe“, odrzekł Konrad, dziękując za poczęstunek, „a tu na głowie to tylko osmalenie od skorupy granatu. Dzięki wam raz jeszcze, panie majstrze! — No, ale teraz naprzód!“

„Kompania — baczność! — Naprzód w biegu — marsz!“

W jednej chwili uszykowali się synowie muz i w wesołym marszu popędzili pod kierunkiem Konrada w stronę zamkowego bastyonu, gdzie ich wkrótce znowu zobaczymy.

Całe przedmieście od strony wspomnianego bastyonu było w ogromnem poruszeniu. Straszny huk

dział i przeszło czterdziestu karabinierów w ciągłym ogniu, łoskot walących się kamieni z muru i bastyonu zamkowego, odrywanych kulami armat nieprzyjacielskich, grad kartaczy sypiących się z bastyonu na wroga, — wszystko to krwawy przedstawiało widok. Granaty tureckie to tu, to tam zapalały palisady i szopy, ale gwardya obywatelska gasiła je coprędzej. Naraz w stronie bastyonu podniósł się olbrzymi słup ognia, a z nim piekielny łoskot, od którego aż ziemia i mury forteczne zadrżały. Deszcz ziemi i kamieni zaciemnił powietrze.

„Mina, turecka mina!“ wołali ludzie w straszmem przerażeniu. „Turcy wnet szturm przypuszczą!“

Nie upłynęło pięć minut, gdy z dala usłyszano przerażający okrzyk turecki, hałas trąb i kotłów, i bezustanne: „Allah, Allah il Allah!“ Następnie wśród grzmotu dział słychać było urywane strzały kilku tysięcy karabinów. W bastyonie, do którego prowadzimy obecnie czytelnika, utworzył się w ziemi wielki otwór lejkowaty, prochem strzelnym opalony, który mina w ziemi zrobiła. Z drugiej strony wpadali janczary, chcąc rów i palisady przesadzić. Oszołomieni opiumem, wśród dzikiego wrzasku uderzyli na bastyon, ciskając nań grad kul, strzał i innych nabojów. Obrońcy, złożeni z kilku kompanii cesarskich żołnierzy, kilku oddziałów obywatelskiej gwardyi i liczego plutonu studentów, spokojnie oczekiwali nieprzyjaciela. Kobiety i dzieci w głębokich wannach nanosiły gorącej smoły i oleju, któremi oblewano Turków, jak tylko przestały na chwilę działać karabiny, pistolety, helebardy, siekiery i miecze; najstraszniejszą wszakże i najskuteczniejszą bronią były kosy znanego nam już kowala Blasbergera, któremi Starhemberg 509 ludzi uzbroił. Jak powódź jaka napływali Turcy na wały i bastiony, a chociaż

od kos i innej broni padali całemi stosami, nowe na ich miejsce, jak z ziemi wyrastały szeregi. W tyle za nimi szły żelazem kute lektyki, które wielki wezyr i dwór jego zajmował, by ludzi swych do boju zaognić, a wahających się karać na miejscu. Po trzykroć uderzali janczary wraz z syryjskimi oddziałami, ale zawsze bezowocnie. Kosy i helebardy, topory i karabiny, smoła i olej wrzący — odganiały ich napowrót, a bomby puszczane z bastyonu i grad kartaczy niemałe między nimi czyniły zniszczenia. Wreszcie odstąpił nieprzyjaciół, setki trupów pozostawiając na placu. Burza przeszła, obrońcy Wiednia rannych i zabitych odnieśli z placu bitwy. Gromada studentów z niepomierną boleścią na obliczach, otaczała jednego z swych towarzyszy, który bez znaku życia leżał na ziemi. Felczer odwinął mu rękaw i lancetem przeciął nagle żyłę. Dopiero po kilku minutach ukazało się kilka kropel krwi zsiadłej, za nimi wytrysły inne, a w kilka minut puściła się krew z wielką obfitością. Ranny otworzył oczy i poprosił o wodę.

„Bogu dzięki, żyje!“ wołali studenci, podczas gdy felczer już flaszkę z jakimś ożywczym płynem do ust jego przytykał.

„Ach, jak to pokrzepia!“ wyszeptał ranny. „Ale tu pali jak ogień,“ ciągnął dalej, dotykając się ręką głowy, „zdaje mi się, jakbym rozbitą miał czaszkę!“

„Trafiła cię kolba janczarskiej strzelby,“ rzekł doń jeden z studentów, „gdys jednemu z jego towarzyszów łeb w ćwierci rozplątał. Łajdak chciał nasze miny podpalić, już zapalał worek prochu, ale ty szablą zaćmiłeś mu oczy i palący się już worek rzuciłeś na Turków. Ukryte w prochu granaty siekały Turków na kapustę. Aj, był to widok, jak łotr upadł

na ziemię, a idący za nim janczarowie wylecieli w powietrze! Tęto czyn twój prawdziwie bohaterski, był główną przyczyną ich ucieczki!”

„A któż to uczynił?” ozwał się jakiś głos przytłumiony w tyle za zgromadzonymi. Studenci oglądali się — za nimi stał biskup Kolonicz.

„Oto ten żołnierz,” rzekł jeden z studentów, wskazując na rannego, „nazywa się Konrad i przez Waszą Ekscelencyę przydany został do naszej kompanii za przywódcę.”

„Tyś Konrad?” zawołał biskup, który pod pyłem prochowym i krwią płynącą, nie mógł rozpoznać twarzy rannego. „Dzielny chłopcze, nie może ci to być zapomnianem, jeżeli cię tylko Bóg do zdrowia powróci. Czyn twój bohaterski zamelduję komendantowi.”

„Zasłużył na to,” ozwał się inny student, „aby zastąpił nam miejsce zabitego kapitana. Bez niego bylibyśmy na pewno zgniecieni.”

„Dobrześ powiedział,” rzekł biskup, „kto wie, czy Konrad nie przewyższyłby go nawet w bohaterstwie. Jednak o tem potem — a teraz szybko pomoc, by powrócił do zdrowia. Weźcież, moi kochani rannego i nieście go za mną. Ja już wiem, gdzie go najlepiej będą pielęgnować.”

VII.

Poranne promienie słońca zaglądały w piękny ranek sierpniowy do mieszkania pani von Holten, i oświecały łóżko, na którem leżał ranny nasz Konrad. Ciężki oddech chorego i spieczona wargi wskazywały wyraźnie, że trawi go potężna febra. Z ust wybiegały czasem pomieszane bez ładu słowa. Z są-

siedniego pokoju wyszła właśnie pani von Holten, tkliwa jego opiekunka, z ojcem Euzebiuszem, który często odwiedzał chorego.

„Chodź tu, moja kochana,“ szeptał Konrad, palcami coś w powietrzu pokazując. „Chodź, idziemy na wesele! Najczcigodniejszy ksiądz biskup połączy nas z sobą a potem pojedziemy do moich rodziców, do zamku Hirschenstein!“ Potem szeptał jeszcze coś niezrozumiale; nagle wydał okrzyk: „Dalej na Turka! na Turka, dzielni chłopcy! Precz poganie! Vivat! nadchodzą pułki cesarskie!“

„Oby Bóg sprawdził to, co mówisz biedny Konradzie!“ wyszeptał kapucyn.

„Zawsze jedne i te same myśli,“ rzekła pani Holten, głos jak najbardziej przytłumiając, „narzeczona, rodzice na zamku Hirschenstein, Turcy i pułki cesarskie! Wszystko zmieszane razem!“ Ojciec Euzebiusz, obserwował chorego, dotknął się jego czoła, wziął delikatnie za puls. „Bogu chwała, febra ustępuje!“ rzekł z radością na twarzy, „silna jego natura kryzys przetrzyma. Dzisiejsze moje odwiedziny nie wystarczą same choremu, potrzeba i was tutaj, łaskawa pani. Muszę was na to przygotować, że dziś pójdzie sprawa trochę goręcej i gorzej, ale nie lękajcie się niczego. Bóg od pierwszych dni był zawsze z naszymi pułkami. W trzech wypadkach Turcy muszą upaść. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będą się chcieli pomścić za swój upadek. Czaty nasze wieżowe dostrzegły już od wczesnego poranku jakiś niezwykle ruch w obozie tureckim. Dlatego hrabia Starhemberg udał się na wieżę św. Szczepana, aby nieprzyjaciela obserwować — wszystkie nasze siły stoją już w pogotowiu. A teraz Bogu was polecam, łaskawa pani. Muszę biedz do szpitalów, gdzie grasuje tyfus i febra. Szlachetny nasz biskup

Kolonicz i jego kanonicy tyle mają tam do czynienia, że głowy tracą!“ Mówiąc to, uściśnął rękę pani von Holten; tymczasem ta spoglądała na chorego z wielkiem miłosierdziem i przyrządzała mu ochładzające napoje. Koło południa, gdy znowu przy łóżku jego usiadła, straszliwy łoskot wstrząsnął całym domem a w kilka sekund zaciemniło się niebo. „Mina, mina turecka!“ krzyczeli ludzie na gościńcu, biegnąc tam i napowrót w wielkim niepokoju. Z wieży św. Szczepana ozwał się dzwon, wzywający do walki, a tysiące strzałów grzmiało w oddali. Pani von Holten padła na kolana, prosząc Boga o litość nad obleżonymi, o zwycięstwo dla Wiedeńczyków. Gdy powstała i spojrzała na łóżko, z przerażeniem wielkiem cofnęła się aż o kilka kroków. Na łóżku Konrad siedział wyprostowany, z oczyma wytrzeszczonemi, a z ust i z nosa płynęła mu krew strumieniem. W rozpaczy prawie pobiegła prędko po wodę zimną i chusty, którymi krwotok zatamowała. Konrad oglądał się dokoła z zadziwieniem, i zapytał, w jaki sposób się dostał tutaj. Ucieszona pani von Holten przywróconą przytomnością Konrada, opowiedziała mu wszystko. Był już wieczór, jak ojciec Euzebiusz znowu przyszedł do Konrada. Opowiadał, jak Turcy wysadzili w powietrze jedną część bastyonu zamkowego, jak potem wszczął się szturm zażarty i Turcy, straciwszy 2500 ludzi, zmuszeni byli ustąpić. Ucieszył się wielce pomysłą zmianą, zaszłą w organizmie Konrada i zaraz przystąpił do łoża chorego. Konrad poznał natychmiast starego swego przyjaciela i ucieszył się również prawdziwie, dowiedziawszy się od ojca Euzebiusza, że litościwy książę biskup Kolonicz zawsze się o niego dopytuje i że Wiedeńczykom dotychczas przynajmniej powodzi się w utarczkach z Turkami.

„Spodziewam się, że mi wkrótce zupełnie wyzdrowiejesz, mój synu,” rzekł ojciec Euzebiusz odchodząc. „Krwotok był zbawienną pomocą naturalną: oczyścił mózg od kontuzji!”

Konrad wyraził życzenie przeniesienia się do szpitalu, gdyż lękał się, czy litościwej swej opiece nie jest zbyt wielkim ciężarem. Ojciec Euzebiusz zbił to przekonanie, tem bardziej, że szpitale zapelnione były chorymi po same brzegi. Pani von Holten również o tem ani słyszeć nie chciała. Wzięła do siebie Konrada nie tylko, że tak dyktowało jej serce, nietylko że uważała go za troskliwego obrońcę kochanej Franciszki, którą szczęśliwie do celu przeprowadził, ale dlatego wreszcie, że tak sobie życzył jej mąż, pozostający obecnie na polu bitwy, w armii księcia lotaryńskiego. Ostatni ten powód, na mocy którego pani von Holten zmuszała Konrada do pozostania u niej aż do zupełnego wyzdrowienia, było stanowczem rozstrzygnięciem sprawy i Konrad musiał się dać przekonać. Codziennie rany goiły się z widoczną szybkością.

Ojciec Euzebiusz odwiedzał go w każdej wolniejszej chwili i zawiadamiał go dokładnie o przebiegu oblężenia i obrony. Jak opowiadał, pohańcy wiele już zagarnęli ofiar, a między nimi niemało wyższych duchownych i urzędników i znaczniejszych obywateli. Dopiero za wstawieniem się i energicznym oporem biskupa Kolonicza, polowań podobnych na bezbronnych dostojników, Turcy zaprzestali. Dalej mówił mu o dzielnych i śmiałych czynach obrońców na wałach i bastyonach, o szczęśliwszem położeniu księcia lotaryńskiego, do którego przyłączyły się obecnie także liczne siły bawarskie, saskie i frankońskie i o prawdopodobnem przybyciu polskiego króla Jana Sobieskiego, już na początku września.

Wiadomości te zagrzały znowu dzielnego żołnierza; radby był jak najprędzej stanąć przeciw nieprzyjacielowi.

VIII.

Podczas, gdy Konrad powoli przychodził do siebie, miasto nie mało jeszcze przeżyło dni tantallowych, do ogólnej bowiem rozpacz, do nowych ofiar, chorób i częstych niepowodzeń, przyłączył się straszny głód, który odbierał wszelką otuchę mieszkańcom. Brak mięsa był tak wielki, że łowiono koty i psy a nawet szczury, którymi się jak łakociami raczono. Hrabia Starhemberg kilka razy dziennie kazał puszczać z wieży św. Szczepana rakiety, jako pomocy wołające sygnały do nadchodzącej odsieczy. Wprawdzie odpowiadano im również rakietami, ale te ciągle strzelały z lewego brzegu Dunaju, ani na krok nie zbliżone więcej do miasta. Dopóki sygnallowych ogni nie ujrzą na prawym brzegu Dunaju, na Kahlenbergu, pomoc spodziewana jeszcze daleko. Codziennie staczano krwawe bitwy na wałach, najgoręcej poszło w dniu 4. września. Turcy tak straszną minę podłożyli pod bastyon zamkowy, że cała ulica Graben została prawie całkiem gruzami i ziemią zasypa. Przez zrobiony wyłom wdarli się Turcy w liczbie 4000 pod osobistym dowództwem Kara Mustafy. Hrabia Starhemberg nadbiegł z całym swym sztabem, aby zagrożony punkt obronić lub paść na wyłomie. Nieprzyjaciel zatknął już nawet na wałach kilka buńczuków, jednak po dwugodzinnej bitwie został odparty. Turcy stracili 500 żołnierzy, ale i ze strony Wiedeńczyków było 119 zabitych, co dla szczupłej, a ciągle jeszcze topniejącej garsteczki obrońców, było wielką szkodą. Wieczorem tego dnia zwołał

Starhemberg radę wojenną, w której wzięli udział wszyscy wyżsi oficerowie. — Przyjaciół nasz, zupełnie wyzdrowiały Konrad był tegoż samego dnia, po raz pierwszy po tak długiej przerwie na wałach i dokazywał cudów męstwa, nie doznawszy najmniejszego obrażenia. Po bitwie brał udział w robotach koło bastyonu i dopiero wieczorem powrócił do swej kwatery, do pani von Holten, która go i teraz jeszcze puścić od siebie nie chciała. Gdy przybył, zastał ojca Euzebiusza, który oczekiwał go z niecierpliwością.

„Najprzewielebniejszy ksiądz biskup,“ rzekł do wchodzącego, „woła cię do siebie. O ile mi się zdaje, ma ci coś ważnego udzielić, gdyż polecając mi przyprowadzić ciebie, rozprawiał o czemś żywo z hrabią Starhembergim.“

Konrad pospieszył natychmiast w towarzystwie ojca Euzebiusza do zamku. W przedpokoju sali, w której zebrana była rada wojenna, kapucyn powiedział kilka słów oficerowi ordonansowemu, poczem Konrad został do sali wpuszczonym. Hrabia Starhemberg siedział z oficerami nad stołem, zakrytym planami i mapami. Biskup Kolonicz, który się również między zgromadzonymi znajdował, pospieszył na przeciw wchodzącego Konrada i przedstawił go komendantowi. „Co mówiłem już Waszej Ekscelencyi,“ rzekł, „to tylko chyba mogę powtórzyć. Jeżeli tylko sprawę tę odważy się przyjąć nasz wojak, nie znajdziemy sprawniejszego!“

„Polecono mi cię gorąco,“ rzekł Starhemberg do Konrada, badając go swym bystrym wzrokiem. Kiedy tylokrotnie się już odznaczyłeś, a nawet życiem niedawno omal nie przeplaciłeś twej wierności dla cesarza i ojczyzny, nie powinniśmy cię

już więcej narażać. Ale nie mamy nikogo, któremu moglibyśmy sprawę tę ważną powierzyć, chyba tobie jedynie i to tobie wyłącznie!”

„Jestem na usługi Waszej Ekscelency i gotowy na wszystko,” odparł Konrad skromnie i stanowczo.

„Chodzi tu o poselstwo do najjaśniejszego księcia lotaryńskiego, który stoi obozem na Bizambergu,” objaśnił hrabia. „Kto podejmie się tej uciążliwej przesyłki, musi przepłynąć Dunaj i przedrzeć się przez tureckie obozy. Złączone jest więc z tem wielkie niebezpieczeństwo. Ale położenie miasta jest rozpaczliwe. Straszniemi są straty, jakie załoga nasza od nieprzyjaciela, przez głód i choroby ponosi. Książę musi być zawiadomionym, jak nagle i szybko powinna być pomoc. Pomyślne sygnały, puszczane z Kahlenbergu, podniosą otuchę obleżonych.

„Ekscelencyo, przy pomocy Bożej podejmuję się tego poselstwa!” odparł Konrad stanowczo.

„Amen! mój synu,” dodał biskup. „Silne zaufanie w pomoc boską jest najlepszym puklerzem.”

„Dobrze więc!” rzekł Starhemberg. „Nie żądam jeszcze od ciebie słowa, dopóki ci nie powiem, jak powiodło się twym poprzednikom, którzy na toż samo, co ty, się ważyli. Potem dopiero zdecydować się możesz. Oficer Gregorowicz, kupiec Kulczycki i jego sługa Michajłowicz, w różnych porach odważali się przedrzeć przez obóz turecki. Dwaj pierwsi nie mogliby już podjąć się poselstwa, bo Turcy ich poznali. Michajłowiczowi pierwszy raz się powiodło szczęśliwie; drugi raz wybrał się i nie powrócił. Ty jesteś odważnym, śmiałym i stanowczym, umiesz po turecku i arabsku, tobie więc jednemu mógłbym sprawę tę drażliwą powierzyć!”

„Ekscelencyo, postanowienie moje jest tak silne, jak pierwej!“ odrzekł Konrad. „Tej jeszcze nocy gotów jestem wybrać się w drogę!“

„A więc zamelduj się do mnie, gdy będziesz gotowym do drogi,“ odrzekł komendant, uradowany niezmiernie. „We mnie i w cesarzu masz swoich dłużników. Przyjdź do mnie, dam ci depesze i wskazówki.“

Konrad uklonił się i salę opuścił. Powrócił do pani von Holten, poprosił o światło i papier i zasiadł do pisania. Gdy już skończył, oznajmił swej opiekunce, że idzie z depeszami do księcia lotaryńskiego i prosi ją o liścik dla męża, któremu go doręczy.

Kiedy Konrad napowrót wszedł do swego pokoju, pani von Holten zasiadła do napisania listu. Było to ledwie kilka wierszy, ale obficie skropionych łzami.

„I ja także zostawiam Wam list, łaskawa pani!“ rzekł Konrad, powracając z swego pokoju z zapieczętowaną paczką. „Zawiera on mój majątek i ostatnią wolę. Proszę Was, oddajcie ten list z pozdrowieniem ojcu Euzebiuszowi. Jeśli nie wrócę, niechaj go otworzy.“

„Moje myśli i modły będą ciągle przy Was!“ rzekła pani von Holten mocno wzruszona. Konrad w wzruszających również słowach podziękował jej za opiekę i wszystko dobre, jakiego doznał od niej kiedykolwiek, ze łzami w oczach pocałował ją w rękę i dom opuścił. Pospieszył do zamku, aby wziąć wskazówki i depesze od hrabiego Starhemberga.

W godzinę po północy dwoje ludzi wyszło z cesarskiego zamku. Jeden z nich był w uniformie adjutanta, drugi ubrany był w szaty tureckie. Obaj przechodzili pustymi i ciemnymi ulicami, które od

czasu do czasu turecka oświecała bomba. Z Rotenturmtor wyszedł Konrad ukrytą bramką. On to bowiem był przebrany za Turka. „Polecam cię Bogu!“ rzekł adjutant, ściskając serdecznie dłoń dzielnego żołnierza. „Bóg z nami i z Austryą!“ odrzekł Konrad; poczem bramka zamknęła się za nim. Przeszedł przez palisady, spuścił się z wałów i znikł w ciemnościach.

* * *

Przychodniowi, zwiedzającemu wieżę św. Szczepana, po dziś dzień jeszcze pokazują ławkę kamienną, na której codziennie prawie siedział hrabia Starhemberg w czasie oblężenia, pilnie obserwując wroga. Tu także siedział on z dwoma adjutantami wieczór dnia 6. września, spoglądając z napreżoną uwagą w stronę Kahlenbergu. Nie zamieniono z sobą ani jednego słowa; adjutanci obserwowali bacznie wyraz twarzy swego komendanta, który naraz zmienił się z posagowego w ożywczy i rozweselony. Nagle ukazała się rakietą z góry Kahlenbergu. Z okrzykiem radości Starhemberg pochwycił za lornetę, z zapartym prawie oddechem śledząc jakiś punkt w stronie, skąd sygnalizowano. Za pierwszą wystrzeliła druga rakietą, za nią trzecia, czwarta i piąta. Więcej nie ukazało się już na ciemnym tle nieba. Głęboki oddech podniósł pierś Starhemberga.

„Bogu niech będą dzięki!“ rzekł głęboko poruszony. „Te pięć rakiet, moi panowie, przynoszą nam wesołą nowinę rychłej pomocy. Oznaczają one, że posłaniec mój szczęśliwie dostał się do obozu lotaryńskiego księcia, że Kahlenberg znajduje się w rękach naszych i że część cesarskiej armii przeszła właśnie przez Dunaj. Odwagi! Najdalej w tygodniu Wiedeń będzie oswobodzony!“ Podniósł się,

chcąc iść. „Uważajcie tylko moi panowie,” dodał do adjutantów, „czy nie będzie jakiego sygnału o północy. Jeżeli o tym czasie z Bizambergu ukaże się rakiet dwanaście, oznacza to, że król polski złączył się z księciem lotaryńskim. A wtenczas: Gloria in excelsis Deo! Jeżeli panowie zobaczycie te sygnały, zameldujcie mi zaraz!”

To mówiąc, Starhemberg opuścił wieżę św. Szczepana — adjutanci zostali. Powróciwszy do domu, rozkazał rozgłosić po całym mieście wesolą wieść o blizkiem oswobodzeniu miasta. Radość była powszechna, ale zapał i szal prawdziwy opanował wszystkich, gdy dowiedziano się, że już i król polski złączył się z księciem Lotaryńskim. O północy bowiem istotnie dwunastu rakietami sygnalizowano z Bizambergu połączenie się Sobieskiego z księciem lotaryńskim, Karolem, niegdyś współzawodnikiem Sobieskiego do korony polskiej, mężem królowej Eleonory, wdowy po królu Michale Korybucie.

IX,

Sobieski osobiście przybył pod Wiedeń, chociaż zrazu nie chciała wierzyć temu Europa.

Posel francuski przy dworze Sobieskiego, margrabia de Vitry, donosił swemu panu, Ludwikowi XIV., że król już zanadto podeszły wiekiem, że zbyt jest ociężały, by mógł dosiąść konia i poprowadzić wojsko na tak daleką wyprawę, i Ludwik XIV. upewniał też Turków i Kara Mustafę, że Sobieski osobiście przeciw nim nie ruszy, a tego lękał się najwięcej wielki wezyr i jego wojsko, groźnym bowiem był dla Turków geniusz wojenny króla, imię jego samo było dla nich postrachem.

Kara Mustafa ukołysany zapewnieniami Francyi, leniwie prowadził oblężenie. Pewny, że Wiedeń musi się stać jego zdobyczą, nie chciał, aby nagromadzone skarby cesarskiego dworu, szlachty, duchowieństwa i mieszczan zostały zniszczone przy gwałtownym szturmie. On pragnął cały łup i nie zniszczone całe miasto dostać w swoje ręce. Przypuszczał więc częściowe szturmy i podsuwał się coraz bliżej pod mury, robił podkopy, podkładał miny, wysadzał w powietrze baszty i mury, dniem i nocą rzucał ogniste kule na miasto, by je do poddania się zniewolić. Tymczasem sam oddawał się w obozie najwyszukańszym zabawom, zbytkom i rozpuście. Tymczasem na wezwanie cesarza gromadziły się posiłki Niemieckiej Rzeszy. Zbierali swe wojska niemieccy książęta, a Hiszpania, Sabaudya, Włochy i Papież składali pieniądze na potrzeby wojenne; papież tak dalece okazał się gorliwym, że pozwolił na sprzedaż dóbr duchownych we Włoszech i cesarstwie. Zbierała się szlachta, zwłaszcza francuska, pomimo stawianych przez Ludwika XIV. przeszkód, pod chorągwie księcia lotaryńskiego, między innymi przybył Eugeniusz, książę Sabaudzki, jeden z największych wodzów późniejszych czasów. Mimo to siły księcia lotaryńskiego i spieszących z pomocą cesarzowi książąt Rzeszy niemieckiej były za szczupłe do niesienia Wiedniowi skutecznej pomocy; i gdyby nie król nasz polski, Jan III. Sobieski, ta garść niewyćwiczonych w boju z Turkami żołnierzy niemieckich, byłaby musiała ugiąć karku pod jarzmem islamu. Sobieski miał być ich zbawcą, bo on sam jeden, jak to pisał książę lotaryński, „starczył za całą armię“, „oprócz niego niema nikogo w Europie, coby zdołał zrównoważyć liczbę nieprzyjaciół, wskazać drogę do zwycięstwa i uratować cesarstwo.

Sobieski więc jak wiemy ruszył w drogę — zostawiliśmy go w Gliwicach. Sprawą zajął się całem sercem. Na Ukrainę posłał po zaciąg Kozaków, na których, że na czas nie przyszli, tak utyskiwał później za Dunajem, kędy mu ich najbardziej potrzeba było; obronę od granic węgierskich obmyślił, osadzając zameczki i przesmyki górskie załogami, a Tökelyemu przesławszy pogrózkę, że za jeden dach spalony w Polsce, poszedłby osmalić go w Węgrzech, jak niegdyś Jerzy Lubomirski, osmalił Rakoczego w Siedmiogrodzie. Zarząd wewnętrzny kraju (Polski), o ile od władzy królewskiej zależał, zdał na Radę senatorską, w Krakowie wraz z Królową i Dworem pozostawać mającą, a najwyższą komendę nad obroną kraju zdał na Andrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego.

Na wyprawę zabierał też król i najstarszego, w 16. podtenczas roku życia będącego syna Jakóba, zdaje się na jego własną prośbę, aby go zawczasu do spraw wojennych zaprawić. Zresztą i król sam nie wiele starszym będąc, zawód rycerski był rozpoczął, bo w 19. r. życia wiódł rotę pod Zborowem, a w dwudziestym odznaczył się już pod Beresteczkiem. Młody też królewicz nie zawiódł oczekiwań ojcowskich i ani miękko, ani trwożliwie odbył tę kampanię; przeciwnie z Gór Tarnowskich aż nad Dunaj zawsze wraz z ojcem konno (a karetą za nimi szła próżna), i potem w bitwach ciągle przy boku ojca, na krok go nie odstępował i pochwałę odwagi sobie zjednał. Spisywał też młody królewicz dziennik tej wyprawy w łacińskim języku, któryto dziennik zachował się do dziś dnia w oryginale i jest w muzeum ks. Czartoryskich.

Prócz tego dowodzili pod królem dwaj hetmani koronni, Jabłonowski i Sieniawski.

Z Gliwic ruszył król przez Rudy do Raciborza na Śląsku, gdzie stanął dnia 24. sierpnia. Tu odłączył się król z lekkim oddziałem od całego wojska i pospieszył naprzód. Powodów ku temu miał dwa główne: raz usilne zaproszenie księcia lotaryńskiego, aby czem rychlej osobą swoją przybywał; drugi niepokój, aby hetman Sieniawski po dwakroć przez księcia Karola wzywany, nie połączył się wpierw sam z wojskiem cesarskiem i by po takim połączeniu nie przedsięwzięto czego mniej rozważnego, nie czekając na króla i resztę wojska.

W Raciborzu więc z tych powodów opuścił król wojsko cięższe, pozostawiając je pod wodzą hetmana, a sam z lekkim podjazdem w liczbie 3000 ludzi ruszył naprzód pochodami przyspieszonymi. Dziennie robiono po 5 do 6 mil drogi, a wszędzie przyjmowano go uroczyście, na co sam w listach do Marysienki narzeka, że mu to czas niepotrzebnie zabiera. Wogóle od Raciborza aż do Hollabrunn, gdzie się już z księciem lotaryńskim połączył, przebiegł król w przeciagu siedm dni z całym swym oddziałem przestrzeń 34-milową. Dnia 26. sierpnia stanął król w Ołomuńcu, 29. w Brunie a 30. pod Dürnholz. Z Dürnholz uczynił król wycieczkę do Nikolsburga, miasteczka już nad granicą Morawy a Austryi leżącego, gdzie zastał Sieniawskiego.

W kwadrans po tem złączeniu przyjechał niespodzianie książę lotaryński z nader skromną świtą. Król przyjął go przed uformowaną w momencie husarską chorągwią hetmana polnego. Książę o kilkadziesiąt kroków już zsiadł z konia i pieszo szedł ku królowi, który życzliwie go pozdrowił. Potem obaj jechali razem na czele wojska aż do Hollabrunn. Tam przyjął król księcia bankietem. Radość była ogólna; biesiadnicy podochocili sobie od serca.

W godzinę po księciu lotaryńskim przyjechał także książę Waldek i inni dostojnicy, składając królowi hołd przynależny.

W Hollabrunnie, już tylko o jeden dzień drogi od Dunaju, pozostał król z oddziałem swoim przez dwa dni, 1. i 2. września, oczekując nadejścia wojska głównego pod Jabłonowskim. Deszcz też ulewny, który padał przez całą noc z 1. na 2. i przez cały dzień 2. września, przeszkodził tak dalszemu posunięciu się króla ku Dunajowi, jak też zapewne rychlejszemu przybyciu reszty wojska pod Jabłonowskim. Tu 2. września po raz drugi odwiedził króla książę lotaryński, przynosząc niepomysłne wiadomości od strony obleżonej. Król nie chciał więc dłużej czekać i 3. września posunął się z swym oddziałem do Stetteldorfu nad Dunaj, tuż już naprzeciw Tulny i tam do zamku hrabiego Hardeka zwołał Radę wojenną. Wzięli w niej udział najwyżsi dowódcy i dostojnicy wojskowi: prócz króla Jana III. i księcia lotaryńskiego, książę elektor saski, dwu jego krewnych Lawenburg i Gota, Eysenach, Markgraf von Baden, Prezes Rady wojennej cesarskiej, Ludwik de Baden, książę Waldek, Degenfeld, generał wojska bawarskiego, Goltz, generał wojska saskiego, książę Salm i wielu innych dostojników. Jednogodnie na zebraniu tem oddano naczelne dowództwo nad całą chrześcijańską armią naszemu królowi. Postanowiono również, że 7. września wszyscy razem staną na tamtej stronie Dunaju. Naprzód miały przeprawiać się wojska polskie, za nimi cesarskie. Król nie próżnował ani chwili; nakreślił zaraz plan całej batalii, szyk bojowy i podał wskazówki, jak mają zachowywać się w marszu i jak iść na Turczyzna. Król także miał oznaczyć dzień bitwy, czego jednak naprzód nie mógł uczynić, dopóki wojska szczęśliwie stanowiska swe nie zajęły.

Tymczasem kiedy na zamku Setteldorfskim radzono, wojsko polskie główne pod Jabłonowskim nadciągnęło za królem. Nakoniec d. 5. września stanęło wojsko polskie całe i połączone nad Dunajem, ze wszystkich sprzymierzeńców najpierwsze. Ogółem polskiego żołnierza było 34.400, t. j. 21.260 koni i 13.140 piechoty. Husaryi było 35 chorągwi (3500 ludzi), pancernych 91 chor. (10.960 l.), arkebuzeryi 3 chor. (500 l.), jazdy lekkiej 34 chor. (2860 l.), dragonii 8 regimentów (3440 l.). Reszta piechota. Artylerya koronna, pod wodzą znakomitego generała Kąckiego liczyła 30 dział połowych.

Po złączeniu się wojsk naszych z cesarskimi nastąpił ich przegląd. Wojska polskie świetną swą zbroją i postawą wzbudzały podziwienie, zwłaszcza zaś chorągwie husarskie.

I oto, wielkie strategiczne zwycięstwo odniesiono nad hardym wezyrem. Wojsko polskie, bez wystrzału, bez straty jednego żołnierza, stanęło z nad Wisły nad Dunajem i z cesarskiem się połączyło.

Z kolei pozostawało do odniesienia dalsze także strategiczne zwycięstwo, t. j. przeprawa przez Dunaj. Dnia 6. września w poniedziałek, mimo chwiejności generałów i książąt niemieckich, którzy szybkości odradzali, wymawiając się na niewykończone mosty i możliwe stąd niebezpieczeństwo, król ani chwili nie dał się zachwiać w swem postanowieniu i pierwszy ruszył na przedzie. Dzień był tak gorący, że błota dunajskie wyschły do połowy i przejście ułatwiły. Nad wieczorem cała już armia polska była po drugiej stronie Dunaju. Następnego dopiero dnia odważył się przeprowadzić książę lotaryński. Dnia 8. przeprawiła się reszta wojsk niemieckich: saskie, bawarskie i waldkowe.

Oto drugie z rzędu zwycięstwo! Przeprawa przez Dunaj dokonana, wojska chrześcijańskie tuż prawie pod bokiemi nieprzyjaciela zgromadzone i w szyk już bojowy sprawione! A to wszystko znowu bez wylewu krwi, bez wystrzału. Książęta i generałowie winszowali i dziękowali ze łzami w oczach królowi, a król rzekł do nich z uśmiechem: „Panowie! wódz, który stojąc na czele 300.000 wojska, pozwolił nam przejść przez Dunaj i most sobie pod nosem dał postawić, musi być pobity!“

Dnia 9. września ruszyła cała armia chrześcijańska, złączywszy się jeszcze z sławnym elektorem bawarskim, Maksymilianem Emanuelem, wprost ku Tulnowi. Siła jej wynosiła 70.000 ludzi. Jeszcze nigdy król Sobieski nie widział się na czele tak pięknego i liczego wojska. Obie armie oddzielało od siebie pasmo gór wysokich, które ścieląc się łagodnie ku Tulnowi, przeciwnie od strony Wiednia opadając ciasnymi wąwozami, głębokimi debrami i pełne obalonych kłód i skał, u szczytu porośłe wielkim lasem, stanowiły na pozór zaporę nie do przebycia; tak też sądził Kara Mustafa i nie obwarował obozu od strony Kahlenbergu tak jak z innych stron. Chcąc dotrzeć do miasta, można było puścić się gościńcem prostym, prowadzącym z Klosterneuburga wzdłuż brzegów Dunaju, lecz gościniec ten w niektórych miejscach tak był ściśniony korytem rzeki i wiszącymi nad nią górami, iż niemożnaby inaczej nim postępować, jak tylko bardzo wąską kolumną, bez możności rozwinięcia jej przy wyjściu z wąwozów Nussdorfu. Dunaj skręca się tutaj nagle w prawo i widać Wiedeń jakby na dłoni; lecz część pasma gór poprzeczna głównemu ich pasmu, obwarowana była szancami i działami Turków tak, że wychodzące z Nussdorf kolumny wojska musiałyby

się koniecznie rozbić o te warownie tureckie. Sobieski, który bystrem okiem doświadczonego wodza zbadał i ocenił całe położenie obozu tureckiego, uznał, że atak z tej strony przedsięwzięty jest niemożliwy i oto geniusz jego zdobył się na krok tak śmiały, jakiemu równego historia wojen niewiele przedstawia: postanowił on z armią swoją wspiąć się na Kahlenberg i przez spadziste i ciasne wąwozy, wśród lasów bezdrożnych, jak grom spaść wprost z gór na nieprzyjaciela i uderzyć na obóz od strony, z której się go najmniej Turcy spodziewali. Kara Mustafa oczekiwał ataku wojsk chrześcijańskich albo od drogi prowadzącej z St. Pölten, którą silnie obwarował, lub też ze strony Dunaju naprzeciw Prateru. Tymczasem armia chrześcijańska wspinała się na góry. Trzy dni trwało przejście w poprzek gór, kilka tysięcy chłopów karczowało lasy dla utorowania drogi postępującemu z tyłu wojsku. Polacy szli ciągle przodem, piechota niosła na barkach swoich działa i amunicję, liście drzew stanowiły jedyny pokarm koni. Król mimo niesłychanych trudów i niewygód, jakie musiał ponosić, był wesół i z pewnością siebie utrzymywał odwagę. Król jechał otoczony strażą przyboczną, złożoną z samych Janczarów tureckich, których w dawniejszych bitwach był ujął do niewoli. Dziwili się więc książęta, jak może powierzać osobę swoją straży złożonej z Turków, gdy właśnie przeciwko ich współwyznawcom wyrusza. Sobieski na to oświadczył Janczarom, że im daje wolność i pozwala złączyć się ze swymi braćmi, atoli oni rzucając się do nóg króla oświadczyli z płaczem, iż bez niego ani żyć, ani umierać nie mogą. Wierność ta i przywiązanie nawet muzułmanów do osoby królewskiej, wprawiła w podziw wodzów i wlała otuchę w serca żołnierzy.

X.

Nadszedł nareszcie dzień 12. września; był to śliczny poranek niedzielny, mogący więcej jeszcze nadziei wlać w serca wojowników. Już od północy zajęły na Kahlenbergu stanowiska wojsko austriackie z posiłkami króla polskiego i Niemców. U stóp zaś góry pod wałami Wiednia rozłożyło się obozem ogromne wojsko tureckie, broniąc wojskom chrześcijańskim przystępu.

Na szczycie góry Leopolda powiewała czerwona chorągiew z czerwonym krzyżem, a obok niej oczekiwiała służba na swych panów i rycerzy, trzymając na pogotowiu do bitwy konie. Z pobliskiej kaplicy dolatywało echo organów. Zgromadzili się tam wszyscy dowódcy wyprawy, aby Boga prosić o zwycięstwo.

Na przestrzeni między wybrzeżem Dunaju a Klosterneuburgiem stało wojsko chrześcijańskie rozdzielone na trzy części. Na lewym skrzydle stał pułk kirasyerów a na czele pierwszego oddziału tegoż herkulesowej postaci jakiś starszy oficer; obok niego jechał na koniu młody człowiek bez hełmu i zbroi kirasyera, ale zaopatrzony tylko silnym długim pałaszem i dzidą tkwiącą u siodła.

„Opowiadałeś mi o mojej żonie, od której doręczyłeś mi list,“ mówił starszy oficer do swego towarzysza, „i opowiedziałeś mi dokładnie wewnętrzny stan Wiednia, ale nie wspomniałeś mi ani słówka, jak ci się udało przejść przez obóz turecki!“ „To się da krótko opowiedzieć, kapitanie Holten,“ rzekł Konrad, którego niezawodnie czytelnik łatwo w młodym rycerzu poznał. „Mówię po turecku i arabsku, błąkałem się dosyć po muzułmańskich krajach i nauczyłem się wiele zwyczajów i obyczajów tureckich.

Łatwo też przyszło mi w obozie udawać Bośniaka, który jeszcze jako dziecko został rodzicom porwany i w Islamie wychowany. Opowiadałem, że jestem w usługach pewnego wyższego tureckiego oficera, że teraz szczęśliwie zdołał ująć z niewoli chrześcijańskiej do obozu, aby tu swojego pana odszukać. Bez podejrzenia przechodziłem od namiotu do namiotu i wszędzie zyskiwałem przychyłność pokazywaniem rozmaitych sztuk, których się w moich podróżach od pewnego sztukmistrza nauczyłem. Nakoniec zaznałomiłem się z pewnym dozorcą koni, który pochodził z okolicy Wiednia i już kilka lat znajdował się w tureckiej niewoli. Namówiliśmy się tedy następnej nocy uciec, wzięwszy ku temu dwa najlepsze konie, jego opiece powierzone. Jednym z tych jest właśnie mój wierzchowiec. Szczęśliwie dostałem się z moim towarzyszem do Engersdorfu do wojska księcia. Oto krótka historia moich przygód.“

Właśnie Konrad ukończył swe opowiadanie, gdy pułk dostał rozkaz wolnego wymarszu do Grinzingu.

Na szczycie góry św. Leopolda ozwał się z kapliczki głos dzwonu, na znak, że msza już skończona. Otworzyły się jej drzwiczki, a wielka liczba starszyny wystąpiła przed front wojska. Przodem szedł Sobieski, król polski, który już Turków raz pobił na głowę. Po prawicy bohatera postępował dumny książę Karol lotaryński — a poza nimi książęta: bawarski i saski i margrabia Ludwik badeński. Obok tego ostatniego szedł delikatny młodzieniec niepozornej postawy; był nim książę Eugeniusz Sabaudzki, który w późniejszych bitwach tak wielką zyskał sobie sławę. Dalej szli jeszcze: książę wirtemberski i waldecki i wielu innych znakomych panów polskich i niemieckich. Na samym

końcu orszaku postępował znajomy nam już mnich: Ojciec Marcelli Aviano, spowiednik cesarza, który właśnie był mszę odprawiał.

Król Jan Sobieski wskoczył teraz na swego rumaka, otoczony liczną drużyną. Po ognistej przemowie do całego wojska, objechał cały plac bitwy, przyjmowany wszędzie dźwiękami muzyki wojennej. Wtem złocista rakietą kilku armatnich wystrzałów dała znak do rozpoczęcia bitwy. Pstre masy uzbrojonych rycerzy, piechota z swemi dzidami, strzelcy z muszkietami wprawieni zostali w nagły ruch i cała armia wojska przybyłego na odsiecz, t.j. prawe i lewe skrzydło uderzyło na wroga, stojącego w dolinie. Środek stał pod dowództwem księcia Waldek i bawarskiego, księżę lotaryński dowodził lewem a król polski prawem skrzydłem.

Wśród grzmotu dział rzucili się Turcy na wojsko chrześcijańskie, a mianowicie zwrócili się przeciwko lewemu skrzydłu cesarskich i Sasów. Dwa razy zostali zapalczywi napastnicy odparci, a gdy po raz trzeci ponowili swój napad, posłał margrabia badenski Ludwik naprzeciw nich oddział saskich dragonów, którzy zsiadłszy z koni, powstrzymywali dotąd nieprzyjaciela, dopóki nowe posiłki piechoty nie nadeszły. Wtedy uderzono na Turków z boku i odparto ich aż pod Döbling. Około godziny 2. po południu weszło w czynny udział bitwy także prawe skrzydło i środek chrześcijańskiej armii. Konnica polska lśniąc od połączanych pancerzy rzuciła się przeciwko Turkom, jednak nie mogła ich silnego napadu odeprzeć. Już Kara Mustafa uważał się za zwycięzcę, gdy wtem Sobieski zawezwawszy niemieckie oddziały na pomoc, rzucił się z całą siłą na wroga, rozpaczliwy stawiającego opór. Chwilę słychać było tylko szczęk oręża i parskanie koni.

W samym środku placu boju walczył kapitan Holten na czele swego oddziału kirasyerów. Rąbiąc dzielnie nieprzyjaciół, nie zauważył wcale, że niesiony przez swego wierzchowca, oddalił się nieco od swoich i przez Turków został otoczony. Dwóch z nich wymierzyło już nań swe ciosy, gdy wtem kilku rycerzy zobaczywszy w niebezpieczeństwie swego wodza, coprędzej przybiegli na pomoc utorowawszy sobie po trupach drogę, a pierwszy z nich przeszył swym pałaszem jednego z napadających Turków, ratując tym sposobem swemu wodzowi życie. „Dzięki ci, dzielny Konradzie!“ zawołał Holten, poznawszy swego wybawcę i rozplatawszy czaszkę drugiemu wrogowi. Zwrócił konia przeciw nowo nacierającym nieprzyjaciółom — gdy wtem zobaczył, jak koń Konrada postawiwszy dęba, upadł na ziemię przywalając jeźdźca swym ciężarem. Nim miał czas się rozglądnąć, już ciężka kawaleria kirasyerów wallońskich przevaliła się po upadłym jeźdźcu. „Biedny młodzieńcze — Bóg niech ci będzie miłościw!“ zawołał wzruszony kapitan, a zwróciwszy się przeciwko wrogom, krwawo pomścił na nich swego poległego zbawcę.

Książę Karol lotaryński rozbiwszy zupełnie lewe skrzydło Turków dotarł do środka, gdzie się krwawa rozpoczęła bitwa. Już z rana, gdy Turcy rozpoczynali nowe napady na miasto, widzieli Wiedeńczycy na szczycie Kahlenbergu czerwoną chorągiew z białym krzyżem, i z tamowaniem niemal oddechu w piersi śledzili ruchy armii przybytej na odsiecz, później i z swej strony kilkakrotne czyniąc wycieczki. Każde serce stawało się odważnem, na myśl że Turek zwycięży — bo każdemu stał przed oczami okropny los miasta; było bowiem każdemu wiadome, że Kara Mustafa obiecywał je zrównać z ziemią. Około godziny 5. po południu walka była już rozstrzygniętą

i dumny wielki wezyr widział ją już dla siebie za straconą. Złożył dowództwo i oddał je baszy Budy a sam pospieszył zebrać resztki swej armii, stojące pod Laufgräben, aby choć oblężniczy obóz ocalić. Ale daremnie! Turcy straciwszy odwagę, w ogólnym popłochu i ucieczce opuścili swoje stanowiska, zostawiając działa wraz z zapasami amunicji na łup zwycięzców. Już o godzinie 6. stały konne oddziały armii zwycięzców pod murami stolicy i wśród odgłosu bębnow i trąb wjechał margrabia Ludwik badencki przez Rossau do Wiednia, aby jego mieszkańcom wesolą wiadomość o tak świetnym zwycięstwie zwiastować. Z okrzykami radości przyjmowano wszędzie margrabiego — i Wiedeńczycy odetchnęli znowu swobodnie i spędzili po raz pierwszy znowu spokojną noc po 62 ciężkich dniach oblężenia. Na drugi dzień zrana spieszył każdy wielki i mały przez otwarte bramy do tureckiego obozu, aby zabrać obfite zasoby prowiantów, które tam Turcy zostawili. Znajdował się tu cukier, miód, ryż, kawa, mąka, zboże i wielkie zapasy mięsa i bydła na rzeź, tak że w oswobodzonym mieście, w którym dzień przedtem funt mięsa 1 złr. kosztował, teraz całego woła za małą kwotę 4 złr. nabyć można było. Największy łup, namiot Kara Mustafy, dostał się królowi polskiemu. Z swymi bogatymi skarbami ceniono go na 2 miliony w złocie. Ale jeszcze cenniejsza zdobycz dostała się szlachetnemu hrabiemu Kolonicz. Mianowicie znalazł on w tureckim obozie około 500 biednych chrześcijańskich dzieci, których rodziców Turcy zamordowali. Przeniósł je natychmiast do miasta, gdzie znalazły uprzejme przyjęcie i staranną opiekę. Częścią swymi własnymi kosztami, częścią jego staraniem urządzonych składek starał się o przyszłość tych nieszczęśliwych sierót i kazał je wychowywać. Liczba

bezbронnych mężczyzn, kobiet i dzieci, których Turcy na swojej wyprawie na Wiedeń pojмали w niewolę, miała wynosić około 87.000, a tylko nie wielu z tych nieszczęśliwych udało się znowu do ojczyzny powrócić.

Nazajutrz po bitwie, dnia 13. września, odbył król Sobieski wraz z księciem lotaryńskim, saskim i bawarskim uroczysty wjazd do Wiednia i udał się do katedry św. Szczepana, gdzie wśród uroczystego głosu dzwonów i grzmotu dział odbyła się dziękczynna ofiara Bogu za świetne zwycięstwo. Następnego dnia powrócił także cesarz Leopold do stolicy. W jego otoczeniu znajdowała się także hrabina Franciszka Trauneck. Jej pierwsze odwiedziny były u opiekuna biskupa Kolonicza; kilka jednak tylko słów zamienić z nim mogła, albowiem tenże przyjmował właśnie generalicyę, składającą mu gratulacyę godności kardynalskiej, do której go papież podniósł. Dopiero od ojca Euzebiusza, który się w jednym z przedpokojów znajdował, dowiedziała się Franciszka, że jej obrońca Konrad po owej niebezpiecznej podróży, którą z hrabiną przedsięwziął, szczęśliwie powrócił. Mnich opowiadał dalej swojej z namiętną uwagą słuchającej towarzysze, jak się młody wojownik podczas obrony miasta chlubnie odznaczył, jak ciężko raniony został a następnie aż do swego wyzdrowienia przez panią Holten pielęgnowany i jak na koniec z zleceniem hrabiego Starhemberga niebezpieczną do obozu księcia lotaryńskiego przedsięwziął drogę. O szczęśliwym przybyciu tamże Konrada miano także wiadomości; więcej nie wiedział jednakże ojciec Euzebiusz, co opowiedzieć, bo od tego czasu nie słyszał już nic o Konradzie, a podczas ostatnich dni był tak w przepełnionych szpitalach zajęty, że nie miał nawet czasu panią Holten od-

wiedzieć. Więcej jak z jednego powodu udała się więc teraz młoda hrabina do tej macierzyńskiej przyjaciółki i po półgodzinnej drodze w towarzystwie kapucyna, leżała już w objęciach tej dobrej pani. Ku wielkiej swojej radości znalazła tutaj także jej małżonka, kapitana kirasyerów, który również szczęśliwie z placu boju powrócił. W najgorętszej bitwie został w prawe ramię raniony, a dla leczenia się z rany otrzymał urlop. Jakkolwiek szczęśliwą czuła się małżeńska para po długim rozłączeniu, przecież poznać można było, że znajdowała się w jakimś mimowolnem, ponurem usposobieniu, co też nie uszło uwagi Franciszki, zaraz po pierwszym baczmem spojrzeniu. Po długim wahaniu, jak gdyby obawiała się odpowiedzi, odważyła się nareszcie o Konrada zapytać.

Kapitan wzruszył smutnie ramionami i podczas gdy żonie jego zakreśliła się łza w oku, rzekł niepewnym głosem: „Dzielny ten młodzieniec ocalenie mego życia w walce z kurdyjskimi jeźdźcami przypłacił swoim własnem. Zaledwie mię ocalił, gdy musiałem patrzeć, jak kilka kroków odemnie upadł a setki koni przewaliły się po nim.“

„Miłosierny Boże!“ zawołała Franciszka pobladła z przestachu i załamała ręce. „Rozgnieciony kopytami końskimi! Biedny nieszczęśliwy Konradzie“.

„Zdawał się mieć przeczucie swej śmierci,“ załkała pani Holten, „bo odchodząc odemnie, napisał testament, który miałam ojcui Euzebiuszowi wręczyć, w razie gdyby . . .“ — Nie mogła skutkiem łez dokończyć — udała się tylko do przyległego pokoju i przyniosła zapieczętowany list Konrada. Milcząc oddała go do rąk kapucyna, w którego rysach głęboka przebiegała się boleść.

„Mojemu kochanemu przyjacielowi, czcigodnemu Ojcu Euzebiuszowi,“ czytał mnich głośno zapis. „Po

sprawdzeniu mojej śmierci, niech go otworzy on sam, albo najprzewielebniejszy biskup hrabia Kolonicz.“ „Otwórzcie list na moją odpowiedzialność, kochany Ojcze!“ rzekł kapitan smutnie, gdy mnich wahająco spoglądał. „Śmierć Konrada jest niestety aż zanedo pewną. Jeszcze tego samego wieczora po bitwie wysłałem kilku jeźdźców na miejsce najkrwawszej z Turkami bitwy; znaleziono tam wprawdzie konia Konrada, przebitego dzidą, ale po nim samym nie było ani śladu.“

Mnich złamał więc pieczęć, podczas, gdy z oka jego ciężka łza upadła. „Otoż — widzicie łaskawa pani,“ rzekł zwracając się do Franciszki „jest tu osobny list, adresowany do łaskawej pani hrabiny Franciszki Trauneck.“

Franciszka chwyciła drżącą ręką podany jej list. Ojciec Euzebiusz przebiegł szybko oczami swe pismo a potem rzekł: „Mój kochany przyjaciel pisze mi, co następuje po łacinie: Gdy oko Twoje kochany Ojcze i przyjacielu spoczywa na tym papierze, serce moje już bić przestało. Przedkładam Ci tedy przyjacielską prośbę, abyś zawiadomił moich rodziców, że syn ich nieposłuszeństwo swoje naprawił szlachetnem dążeniem, sprawie chrześcijaństwa na innej drodze niż w klasztorze stać się użytecznym i że w ostatniej chwili myśli swe pełne wdzięczności słał ku rodzicom, których przez swą ucieczkę z klasztoru Jezuitów zasmucił. — Moim ojcem jest rycerz Franciszek Enzberg na Schorndorfie, w usługach szlachetnego hr. Egona Fürstenberga. Mieszka na zamku Hirschenstein nad Dunajem w książęcem hrabstwie Messkirch. A teraz bądź zdrów mój pobożny Euzebiuszu, złóż dobrej pani Holten, mojej dobrodziejce, moje ostatnie pozdrowienie i podziękowanie i wspomnij niekiedy o Twoim przyjacielu Konradzie Enzberg.“

„Oby dzielnemu młodzieńcowi ziemia lekka była!” szepnął kapitan. „Gdy będziecie kochany Ojcie do jego rodziców pisać, to przyłączycie także list odemnie, aby także od wojownika usłyszeli chwałę zmarłego.” Podczas tego Franciszka otworzyła także swój list, z którego obrączka jej własnych włosów wypadła i łzawym głosem czytać poczęła :

„Czcigodna i droga panno! Gdym w lesie Waszą krwią broczącą głowę trzymał w mych rękach, zrabowałem Wam ten zwój włosów. Ja kochałem Was i starałem się na polu walki uzyskać prawo, aby i Waszej miłości być godnym. Ale gdy włosy te znowu do rąk Waszych przechodzą, już Wasz wierny sługa legł pod ciosami, na które dobrowolnie się wystawił, aby stać się Was godnym i nieposłuszeństwo względem rodziców odpokutować. Bóg niech będzie z Tobą! Wspomniście czasem mile o biednym Waszym towarzyszu podróży Konradzie Enzberg Schorndorfie!”

„On już nie żyje!” zawołała Franciszka przygnębiona boleścią. „On był za schlachetny dla tego świata i dla mej przyczyny szukał śmierci! On był rycerskim człowiekiem — i nie potrzebował wcale starać się wśród takich niebezpieczeństw o moją rękę bo moje serce należało już do niego. Teraz jest już osierocone!”

Płacząc gorzko, upadła w objęcia pani Holten.

Nazajutrz udała się znów Franciszka do swego opiekuna, terazniejszego kardynała Kolonicza. Wiedział on już, co znaczy jej żałobna suknia, bo ojciec Euzebiusz opowiedział mu wszystko. „Smutek ten przynosi twemu sercu zaszczyt moje dziecko”, rzekł kardynał uprzejmym głosem, całując ją w czoło. „Zmarły był godzien twych łez, bo szlachetniejsze serce pewnie nigdy nie biło pod mundurem żołnierza. Na moje hrabiowskie słowo, gdyby był żył, sam byłbym jego swatem względem ciebie.”

„Cóż pocznę teraz,” szepnęła Franciszka, „oto pójdę do klasztoru dokończyć mego osamotnionego żywota.”

„Daj tym myślom spokój, moje dziecko,” rzekł znowu kardynał, „nie jesteś powołaną do tego, zupełnie jak i on.”

W tejże chwili zameldowano ojca Euzebiusza, który się też wkrótce ukazał. Zobaczywszy hrabinę, zawahał się nieco i zamilkł. Kardynał zauważył to, odszedł z nim przeto na stronę i nachylił się ku niemu. — Mnich szeptał mu coś do ucha. Niezwykła radość zabłysła w twarzy księcia kościelnego, gdy wysłuchał krótkiej wiadomości. Skinął ręką swej wychowanicy, jak gdyby ją przeproszał, że ją na czas jakiś samą zostawia i wyszedł z pokoju. Ojciec Euzebiusz pozostał przy Franciszce, aby ją powoli przygotować na przyjęcie niespodziewanej nowiny, której właśnie udzielił kardynałowi.

W przedpokoju stał młody człowiek z obwiązaną skronią. Miał na sobie polski kontusz a w ręku trzymał futrzaną konfederatkę.

„Przebaczenia! Eminencyo, jeżeli przeszkadzam,” były pierwsze słowa Konrada, gdyż to on był właśnie tym młodym człowiekiem. — Kardynał przywitał przybyłego z prawdziwie ojcowską czułością, obejmując go z wzruszeniem w swe ramiona, poczem Konrad musiał mu swe przygody opowiedzieć. Po upadku z konia uszedł kilka kroków lekkie tylko czując skaleczenie, ale wskutek uderzenia kopytem przez innego przezeń przeskakującego konia został ciężko w głowę raniony. Upadł bez przytomności. Gdy znów przyszedł do siebie, było już po bitwie. Z nateżeniem resztek sił zdołał się po długim czasie z pod swojego nieżywego konia wydobyć, poczem z trudnością dowlókl się w stronę miasta, gdzie bezsilny

upadł na ziemię. Tu znaleźli go polscy jeźdźcy, których oficer zajął się nim i rozkazał go do polskiego polowego szpitala przenieść, kędy opiekowano się nim tak długo, dopóki jego siły nie pozwoliły mu udać się do miasta, odszukać swych przyjaciół i znajomych.

„Pozwól mi, mój synu, bym cię godnie wynagrodził,“ rzekł kardynał, gdy Konrad skończył swe opowiadanie.

„Jeżeli Eminencya cokolwiek dla mnie zechce uczynić,“ prosił Konrad, „to wystarajcie mi się o dyspensę papieża, albowiem uciekłem z klasztoru.“

„Za to ręczę ci już,“ dopowiedział prałat. „Oprócz tego mam ci wesołą nowinę od twojej rodziny zwiastować. Gdym się wczoraj od ojca Euzebiusza o twojem właściwem nazwisku dowiedział, kazałem się zapytać, czy przy cesarskiem wojsku nie znajduje się przypadkiem choć jedna chorągiew Fürstenbergskich oddziałów. Było tak w istocie, i przysłano mi natychmiast oficera niejakiego rycerza Kurta Troschheima.“

„Mojego wuja,“ zawołał Konrad.

„Rzeczywiście, przedstawił mi się jako taki,“ potwierdził kardynał. „Ale Konradzie — ty masz jeszcze siostrę?“

„Tak jest — Stefanię — o dwa lata młodszą odemnie.“

„Otóż jak mi twój wuj opowiadał, pobożna Stefania, której życzeniem już dawniej było, wstąpić do klasztoru, uczyniła to teraz zamiast ciebie i tym sposobem spełniła ślub twojej matki.“

„Dobra Stefania!“ zawołał Konrad wzruszony. „Jakże wiele winien jej jestem.“ W tejże chwili otworzyły się prędko drzwi przyległego pokoju a w nich ukazała się hrabina Franciszka. Gdy bowiem

ojciec Euzebiusz powoli oznajmił jej, że oplakiwany jako zmarły Konrad, żyje i nawet blisko niej się znajduje, nie mogła powstrzymać swej niecierpliwości i z gwałtownością drzwi otworzyła. Naprzemian bladła i barwiła się świeżym rumieńcem jej twarz, gdy lała łzy radości. Obydwoje stali naprzeciwko siebie nie mogąc znaleźć wyrazów na rozpoczęcie rozmowy.

„Nie tamujcie biegu swym uczuciom, moje dzieci,“ rzekł książę kościoła z przyjemnym uśmiechem. „Ja wiem przecie dobrze, w jakim wasze serca są względem siebie stosunku. Pomyśl sobie, Konradzie, że ja zastępuję twojego ojca i pytam ci się, czyś gotów jest życie swe hrabinie Franciszce poświęcić!? Cóżbyś ty na to odpowiedział?“

„Eminencyo!“ zawołał Konrad, „jakżebym się odważył ...“

„A więc spytaj się mojej wychowanki“, rzekł Kardynał, „czy nie dałem jej mojego hrabiowskiego słowa, że ciebie z rąk moich otrzyma jako męża, jeżeli jeszcze żyjesz. Nie mówiłem tego Franciszko? Chyba, że chcesz mię kłamstwem ukarać?“ dorzucił z uśmiechem na ustach.

„O — nie! Boże zachowaj,“ zawołała hrabina i rzuciła się w otworzone ramiona Konrada.

„Niechaj Bóg błogosławi wasz związek, moje dzieci,“ rzekł wzruszony opiekun, kładąc swe ręce na głowy szczęśliwej pary.

Kilka tygodni później został Konrad przez kardynała Kolonicza i hrabiego Starhemberga, który teraz do godności feldmarszałka podniesiony został, przedstawiony cesarzowi, ten bowiem czcząc wielkie zasługi walecznych żołnierzy, podnosił ich do szlacheckiego stanu. Co niegdyś Konrad w fantazyi swej tylko roił, zamieniło się teraz w rzeczywistość; jego

związek małżeński z hrabiną Franciszką został przez kardynała Kolonicza przed ołtarzem pobłogosławiony. Z ruin nowo powstającej stolicy zakwitło i szczęście w życiu młodej pary, u której dzieci i wnuków, imiona Koloniczów i Starhembergów w tak miłym i wiernym przechowały się wspomnieniu, jak ci z dziejami Wiednia, jakoby w jedną, nierozzerwalną całość spłynęli.

Koniec.

12/491



Dziewica Orleańska.

Opowieść historyczna
z zamierzchłych dziejów Francyi.



Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

Książeczki ludowe:

Nr. 500. Dokładna rozmowa kwiatami, poświęcona miłości i przyjaźni. 50 h = 45 fen.

501. Niezapominajki. Wybór najlepszych wierszy do imionnika, poświęcone miłości i przyjaźni 50 h = 45 fen.

502. Zbiór dobranych powinszowań na wszelkie przygody i sposobności życia 70 h = 60 fen.

503. Książec. k o dobrych zwyczajach towarzyskich 80 h = 70 fen.

504. Zwyczajna kuchnia domowa, obejmująca przepisy potraw kucharskich 80 h = 70 fen.

505. Najnowszy i najdokładniejszy sekretarz zakonchanych i narzeczonych. Z dodatkiem: Pieśni miłosne, wiersze do imionnika itd. K 1,20 = Mk. 1,—.

506. Czarnoksiężnik Bosko. Zbiór sztuk magicznych i kułarskich do wykonywania łatwo i tanio. Z obrazkami 40 h = 35 fen.

507. Toast polski wierszem i prozą, czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju K 1,30 = Mk. 1,20.

508 i 509. Polski śpiewnik, czyli zbiór 486 nowych ari i dumek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych, miłosnych, patryotycznych, historycznych itd. 2 tomy. Cena każdego tomu osobno w oprawie K 1,— = 90 fen.

510—12. Śmiech. Zbiór fraszek, humorystycznych opowiadań anegdot historycznych z życia znakomitych ludzi, zdań, myśli moralnych i opowiadań celniejszych humorystów polskich i obcych. W trzech częściach K 2,— = Mk. 1,70.

513 i 514. Tajemnice magii czyli wyczerpująca nauka wykonywania najtrudniejszych i najpiękniejszych sztuk magicznych. Z 93 obrazkami. Napisał dr. Mik. K 1,60 = Mk. 1,25 opr. K 3,— = Mk. 2,50.

515. Księga duchów. Zbiór opowiadań o duchach, widmach, upiorach i snach tajemniczych K 1,60 = Mk. 1,50.

516. Wywoływanie duchów. Wyjaśnił dr. Mik, autor Tajemnic magii 50 h = 40 fen.

517. Lilie i paprocie. Książka dla serc kochających zebrał J. Chociszewski 90 h = 75 fen.

518. Zbiór pieśni dla ludu śląskiego 40 h = 35 fen., w ozd. opr. 70 h = 60 fen.

519. Starosta weselny czyli zbiór mów przy weselach u ludu polskiego na Śląsku austriackim 50 h = 45 fen.

520. Siła sympatii czyli wpływu duchowego na organizm ludzki i zwierzęcy, jako środek w rozmaitych chorobach i przypadkach itd. 80 h = 75 fen

521. Śpiący biały orzeł czyli proroctwo starego pustelnika z gór Karpackich. Dodane inne ważne proroctwa o naszej kochanej ojczyźnie Polsce, a mianowicie trzy przepowiednie Ojca św., napisał J. Chociszewski 40 h = 35 fen.

522. Największy ilustrowany sennik egipski, perski i arabski, zawierający ki ka tysięcy wykładów snów, naukę o zodyaku niebieskim, księgę planet, wskazówki jak w loteryę grać należy, z przeszło 150 obrazki K 2,40 = Mk. 2,—

523. Sennik egipski, prawdziwy i istotny. Z obr. 60 h = 50 fen.

524. Śpiewniczек kieszonkowy. 300 najulubieńszych piosenek itd. kart. 80 h = 70 fen.

525. Mały śpiewniczек kieszonkowy. 100 najulubieńszych piosenek itd. kart. 40 h = 35 fen.

526. Hejromancya egipska czyli sztuka przepowiadania z linii na ręce (z obrazkami) 40 h = 35 fen.

527. Księga planet zawierająca: Sztuka rozpoznawania swych planet, poznawania charakteru człowieka itd. Z obr. 80 h = 70 fen.

528. Z tajemnicy duszy ludzkiej czyli O spirytyzmie. Treść: I. Historia spirytyzmu; II. Zjawiska spirytystyczne: a) Zjawiska niższego rzędu; b) Zjawiska wyższego rzędu; c) Zjawiska spontaniczne; III. Teorye spirytystyczne: a) Teorya wpływu duchów, b) Teorya siły psychicznej; IV. Zakończenie. Z 6 ilustracyami w tekście K 1,20 = Mk. 1,—.

529. Terno, Ambo, Solo! czyli Szczęśliwy gracz w loteryi. Wskazówki jak grać w loteryi 50 h = 40 fen.

530. Z serca pod siernięgą. Wiersze i piosnki z zapadłej wioski. Napisał Józef Nocek włościanin z Jodłowej. Stron 160. Cena 60 h = 50 fen.

531. Prawdomówca czyli wykład, z którego każdy w łatwy sposób swój los odgadnąć może 30 h = 25 fen.

305. Książd Placydy, stróż Przenajświętszego Sakramentu. Pow. histor. 24 h = 20 fen.

306. Krzyż drewniany. Powieść ks. Schmidta 24 h = 20 fen.

307. Pielgrzymka przez Ziemię św. (z 8 obrazkami) 24 h = 20 fen.

308. Ahaswerus, żyd wieczny. Dziwne przygody izraelity, który był obecny przy ukrzyżowaniu Pana Jezusa 24 h. = 20 fen.

309. Korsarz czyli upiór morski. Powieść. 12 h = 10 fen.

310. Na krach czyli rybak odważny. Powiastka 12 h = 10 fen.

311. Podrzutek albo nagroda wierności. Powiastka 12 h = 10 fen.

312. Anioł pokoju czyli Wszystko dobre co Bóg czyni. Pow. 12 h = 10 fen.

313. O cudownej odmianie księżnej i szewcowej. (Wiersz żartobliwy) 12 h = 10 fen.

314. Rozmowa trzynastu mężatek i jednej wdowy 12 h = 10 fen.

315. Wyrok na śmierć. Pow dla ludu katolickiego 12 h = 10 fen.

316. Żydowska wojna. (Wesołe wiersze) 12 h = 10 fen.

317. Żyd wieczny tułacz z Jerozalem. 12 h = 10 fen

318. Dzielny wójt. Pow. pouczająca z obrazk. 12 h = 10 fen.

320. O pijaństwie. Odczyt ks. K. Michejdy 20 h = 15 fen.

321. Kabała moralna czyli Mądrości Salomona 20 h = 15 fen.

323. Przepowiednie o przyszłej wojnie europejskiej według objaw. św. Jana 20 h = 15 fen.

324. Cudowne nawrócenie dwóch wielkich pijaków. Prawdziwo zdarzenie przez jednego z nich opowiedziane 20 h = 15 fen.

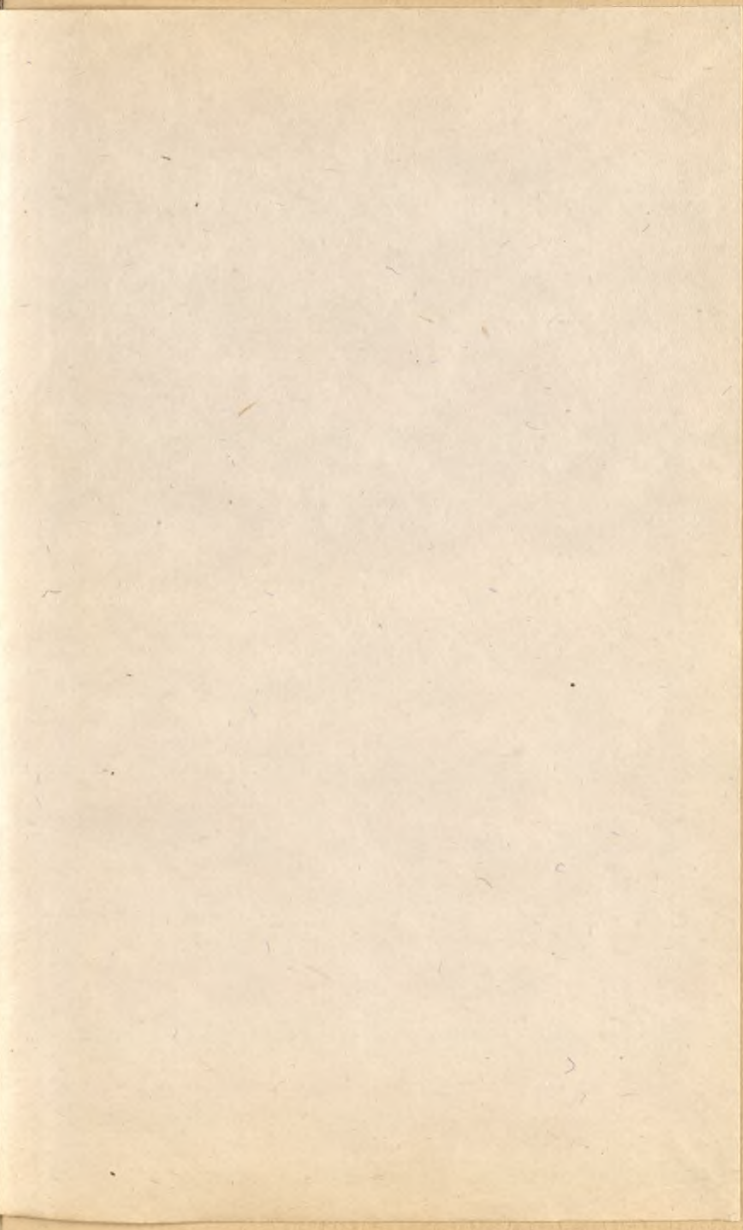
Prorocstwo Michałdy królowej ze Saby 50 h = 45 fen.

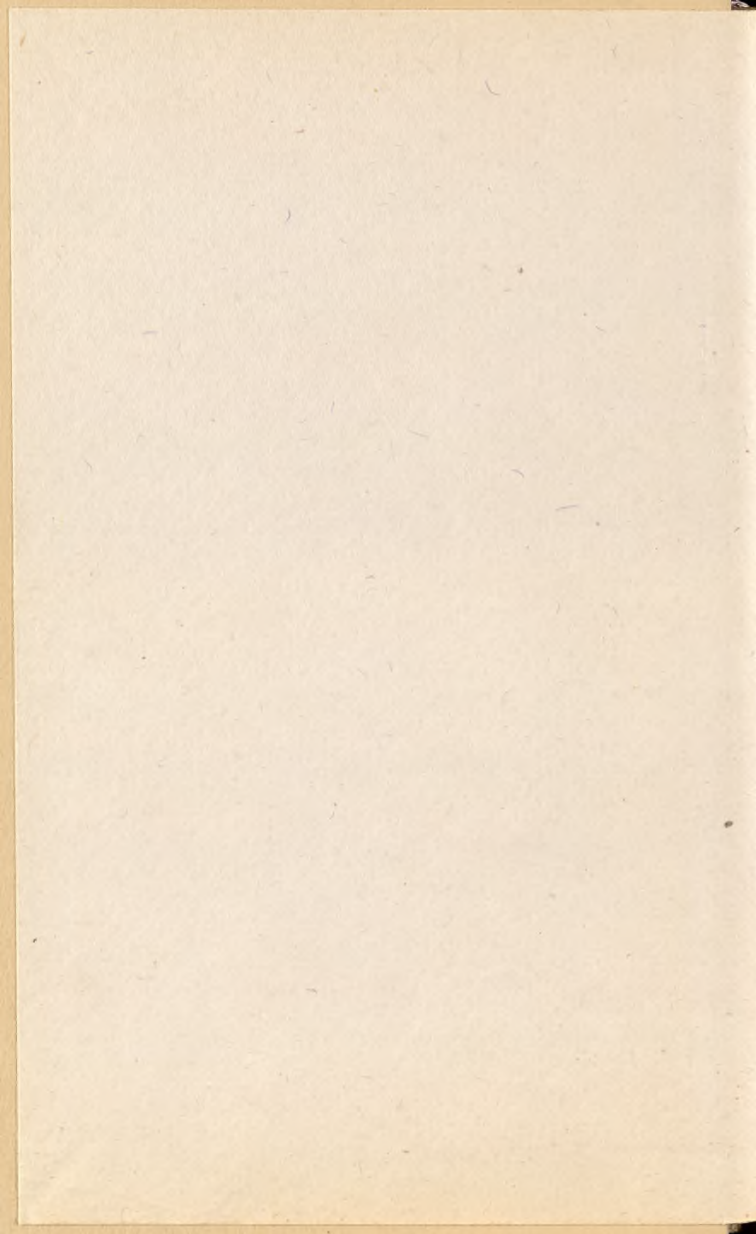
Masopi czyli wołnomularze. Co chcą, co działają i do czego dążą? 72 h = 60 fen.

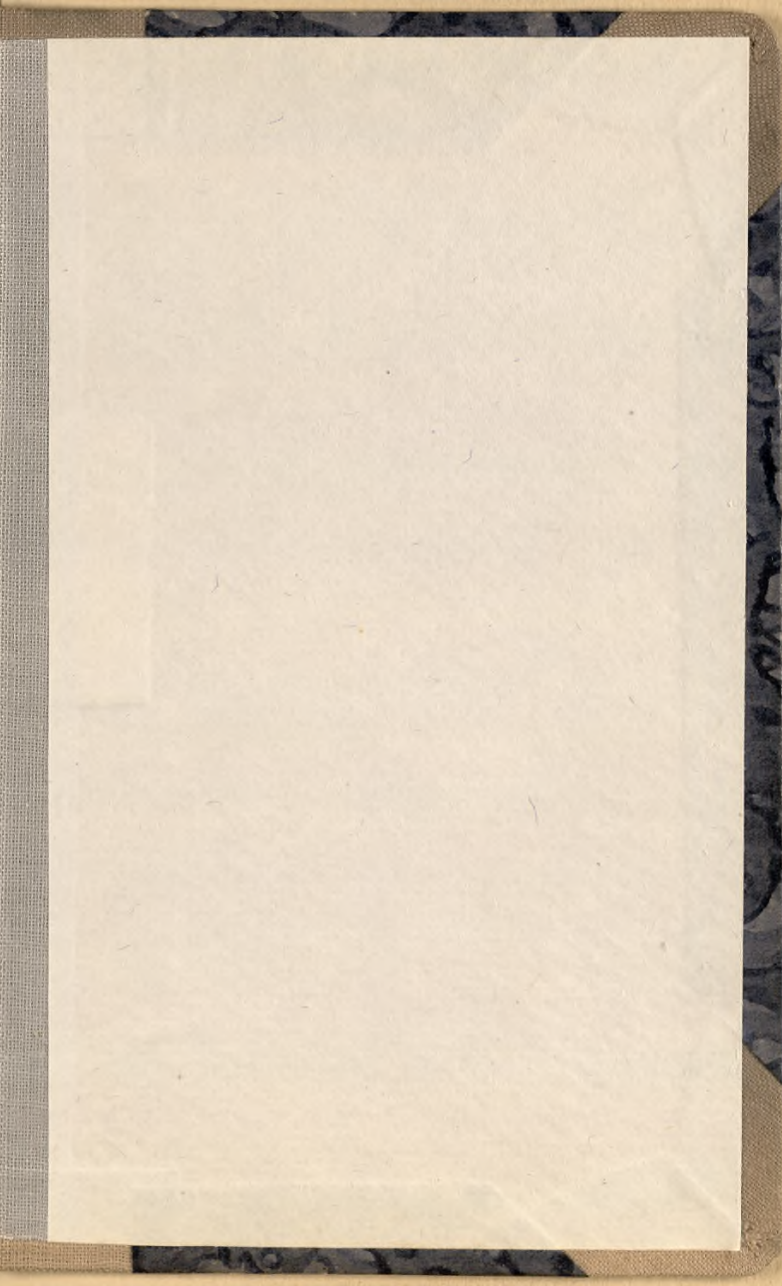
Przysłowia, przypowieści i ciekawsze zwroty ludu polskiego na Śląsku austr. zebrał dr. A. Ciniała 80 h = 70 fen.

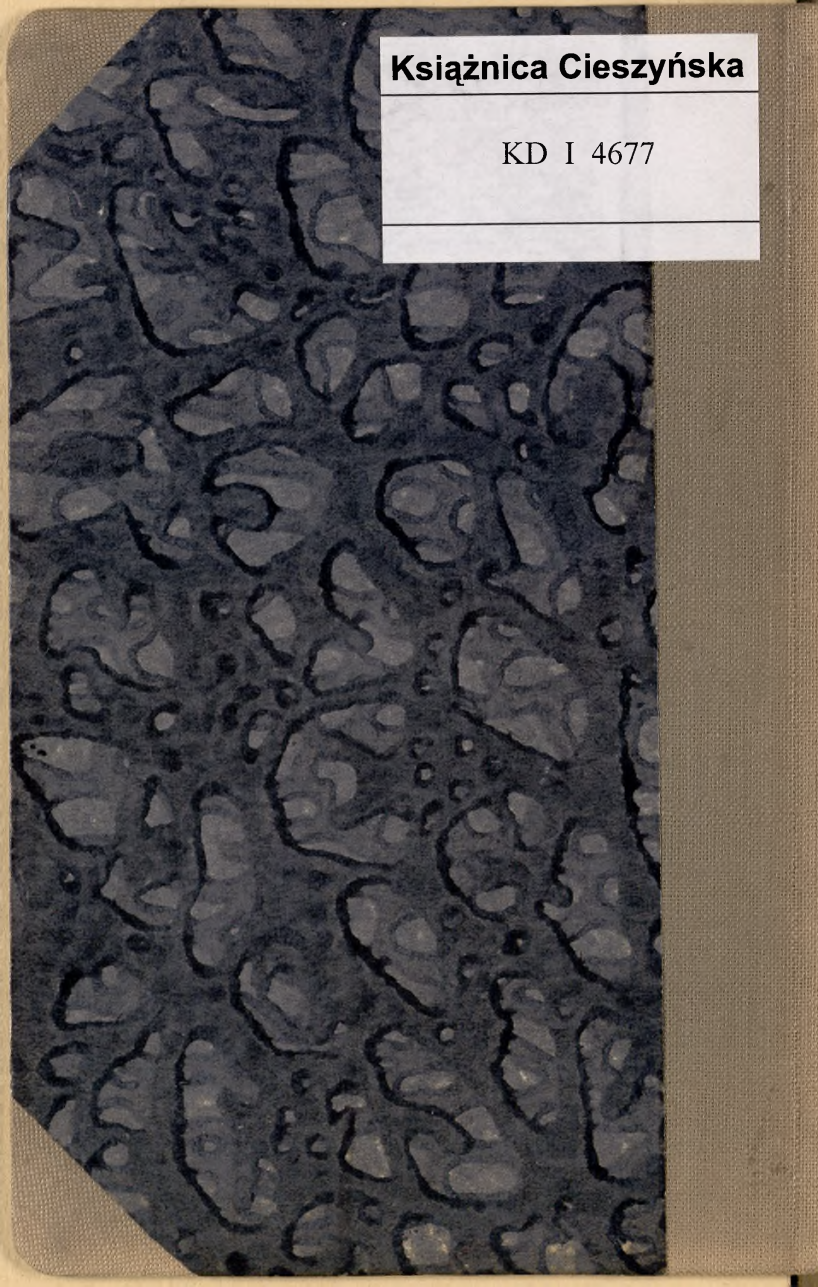
Obszerny katalog Biblioteki tanich książek dla ludu i młodzieży. (Cena każdego dziełka 40 h = 35 fen.) oraz innych książek, wysyła się na żądanie darmo i franko!

UWAGA: Przy drobnych zamówieniach należy odnośną kwotę przesać naprzód przekazem pocztowym z dołączeniem 10—30 h na opłatę poczty, bo tylko większe zamówienia za pobraniem wysyłam.









Książnica Cieszyńska

KD I 4677